WYPOŻYCZANIE PISMA U SPRZEDAWCY JEST NADUŻYCIEM. M

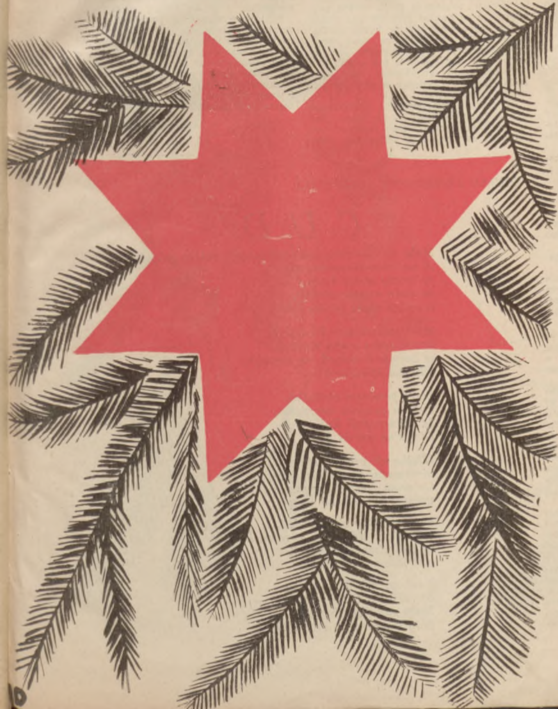
PRAKTYCZNA PANI Nr 52

DOBRA OBYWATELKA
TYGODNIK ILUSTROWANY

30 GROSZY

rok III

25 Grudzień 1937



NUMER TEN ZAWIERA 36 STRON TEKSTU Z RYCINAMI I KOLOROWYMI MODELAMI SUKIEN ORAZ OSOBNY ARKUSZ Z TABLICĄ KROJÓW I WZORAMI ROBÓT.

TREŚĆ:

Prenumerata miesięczna 1 złoty

Boże Narodzenie

„Wstąp na górę wysoką, ty, który zwiastujesz wesołą nowinę ludowi, podnieś mocno głos twój i wołaj: — Oto Bóg wasz!" (Izajasz 40,9—11).

Jako pasterz trzodę swoją paść będzie, ramieniem swym zgromadzi baranki, przyjdzie i prócz słodkich, nieprzeparcie pociągających rysów Boskiego Dziecięctwa, będzie mieć na Swym czole znamię królewskie. Tak głosił przyjście Chrystusa prorok Izajasz, a wieki potwierdziły prawdę tych słów.

Co roku, w porze przesilenia zimowych ciemności i wzrostu dnia, nadchodzi ten dzień, zawsze w tej samej dacie: 25 grudnia, dzień Narodzenia Jezusa — jako Boga-Człowieka.

To święto pierwotnie, zwłaszcza na Wschodzie, obchodzono w jednym dniu ze świętem Trzech Króli, pod grecką nazwą „Teofania", co znaczy przejawienie się Boskości.

Obchodzono je różnie: 6 stycznia, 15 maja albo 25 grudnia; różnica dat pochodziła stąd, że nie ustalony był dzień, w którym stało się to Wielkie Zdarzenie; na podstawie badań historycznych w 336 r. Papież Juliusz I oznaczył dzień Narodzenia Zbawiciela na 25 grudnia i oddzielił je od święta Trzech Króli; grecko-katolicki obrządek w okresie 12 dni, czci w tym czasie Macierzyństwo — Maryi.

Na rękach Matki ujrzeli Boską Dziecinę pastuszkowie i królowie, przybywszy do żłobka; Ona dała światu Jezusa, a Jezus w życiu swoim dał nam wzór, jak mamy kochać i czcić Jego Matkę.

W święto Boskich Narodzin każdy kapłan katolicki odprawia trzy Msze święte: pierwszą na pamiątkę przyjścia Chrystusa na ziemię, drugą — jako symbol Jego Narodzin w duszy wiernych, trzecią — na uczczenie tajemnicy, przedwiecznego rodzenia się Syna Bożego z Ojca. Wszystkie te trzy Ofiary, splatają się w jedno misterium: miłości Boga dla ludzi.

Ten żłobek ubogi, ileż niesie łask i nauki!

Od pierwszej chwili Wcielenia uczy nas Boskie Dziecię pokory, uniżenia, ubóstwa i ofiary. Malutkie usta zdają się szeptać: „Uczcie się ode mnie, żem cichy i pokornego serca".

On, Pan świata, nie znalazł miejsca w gospodzie, bo tam gwar, swary, zabawa, a cichy Król kocha ciszę i ubóstwo i w stajence, na sianie, rozpoczyna swe dzieło zbawienia.

Ludzkość dzisiejsza okropnie wypacza pojęcia miłości, pokoju i piękna; rany jej wymagają przeciwdziałania i lekarstwa. Miłość Dzieciątka Jezus — to miłość Boga, ta sama co łączy między sobą Trzy Osoby Trójcy Świętej, co stworzyła, odkupiła ludzi, a teraz uświęca ich, karmi i prostuje manowce, po których błądzą dziś spaczone umysły, szukające daremnie pokoju i szczęścia, poza ich źródłem najczystszym.

Pokój Jezusa — to prawdziwy pokój ludziom dobrej woli, oparty na wzajemnej miłości, braterstwie ludów, na równości klas i jednej wielkiej spójni: Boskiego Ojcostwa.

Pokój, jako pojednanie z własnym sumieniem, płynący z radości otrzymanego przebaczenia, jako powrót dziecka z ufnością w ramiona kochającego Ojca, ten jest pokój, który nam niesie Boskie Dziecię. Z Jego oczu promienieją błyski życiodajne i rozlewa się Mądrość przedwieczna, z całej Jego Istoty bije urok najpiękniejszego z synów człowieczych. A piękno wszystkim potrzebne, dla łatwiejszego znoszenia żmudnych i szarych dni obecnego życia. Jeśli bowiem piękno określono filozoficznie jako przebłysk nieskończoności przez rzecz skończoną, to nigdy jaśniej i wyraziściej nie można dostrzec piękna nieskończonego, jak wtedy, gdy najsłabsza i najdelikatniejsza zasłona ciała Dzieciny ukrywała Bóstwo.

Niezliczone są skarby szczodrobliwości i miłosierdzia, które nam niosą ręce Boskiej Dzieciny. Garnijmy się więc wszyscy w te dnie świąteczne do Jego ołtarzy, by tam zaczerpnąć obficie ze zdroju miłości — piękna i pokoju.

W dniu 26 grudnia przypada święto św. Szczepana, pierwszego Męczennika. Ponieważ w świętym mieście, Jerozolimie, nie wolno było przelewać krwi, żydzi ukamienowali św. Szczepana poza murami miasta. Świadkowie tej sceny, którzy przeciw Szczepanowi zeznawali, zdejmowali szaty i składali je u nóg Szawła, największego na ówczas prześladowcy chrześcijan. Nawrócenie jego w drodze do Damaszku, jest uważane jako owoc krwi św. Szczepana. Św. Augustyn mówi: „Gdyby św. Szczepan nie był zginął, Kościół nie miałby św. Pawła", tego Apostoła Narodów i jednego z największych swoich filarów.

27 grudnia jest świętem ukochanego ucznia Chrystusowego — św. Jana. Był on synem Zeledeusza, wraz z bratem swym Jakubem, na widok cudu, zdziałanego przez Chrystusa, przy połowie ryb — został Jego uczniem i Apostołem. Odznaczał się dziewiczą czystością duszy i ciała, on był z Panem swoim na górze Tabor, w czasie Przemienienia, on spoczywał na Boskim Sercu przy ostatniej wieczerzy, on towarzyszył Jezusowi na Kalwarię i stał pod krzyżem. Jemu, umierając, powierzył Chrystus Matkę Swoją, gdy rzekł: „Synu — oto Matka Twoja", a przez to uczynił go dziedzicem skarbu łask. Potem mieszkał z Matką Boską w Efezie i napisał Ewangelię o Bóstwie Chrystusa. Choć był smażony w oleju i napawany trucizną (na tę pamiątkę w Jego święto rozdają w kościołach wino do picia z kielicha), jedyny z Apostołów, umarł śmiercią zwykłą, dożywszy bardzo późnego wieku.

28 grudnia przypada święto Młodzianków, to jest tych wszystkich niewinnych dziatek, zabitych z rozkazu Heroda, który chciał w ten sposób trafić na Jezusa, aby go zgładzić. Ucieczka św. Rodziny do Egiptu udaremniła mordercze zamiary okrutnika.

Kościół, ustanawiając powyższe święta zaraz po Narodzeniu, chciał wykazać to, co jest Panu najmilszym u ludzi. Otoczył żłobek postaciami, drogimi Jego Sercu, a więc chorąży armii męczenników, Przyjaciel przedziwnej czystości i wieniec niewinnych duszyczek. „Oto przyjdzie Pan i wszyscy święci Jego z Nim i będzie w owym dniu światłość wielka.

(Ant. podczas Adwentu)

E. P.

BOHDAN JASIEŃCZYK-SZLESIŃSKI

C U D

Mały się Chrystus narodził kiedyś, daleko gdzieś...
A my naiwnie wierzymy,
że wtedy padał śnieg,
że rosły smukłe choiny,
a wokół spała polska wieś;

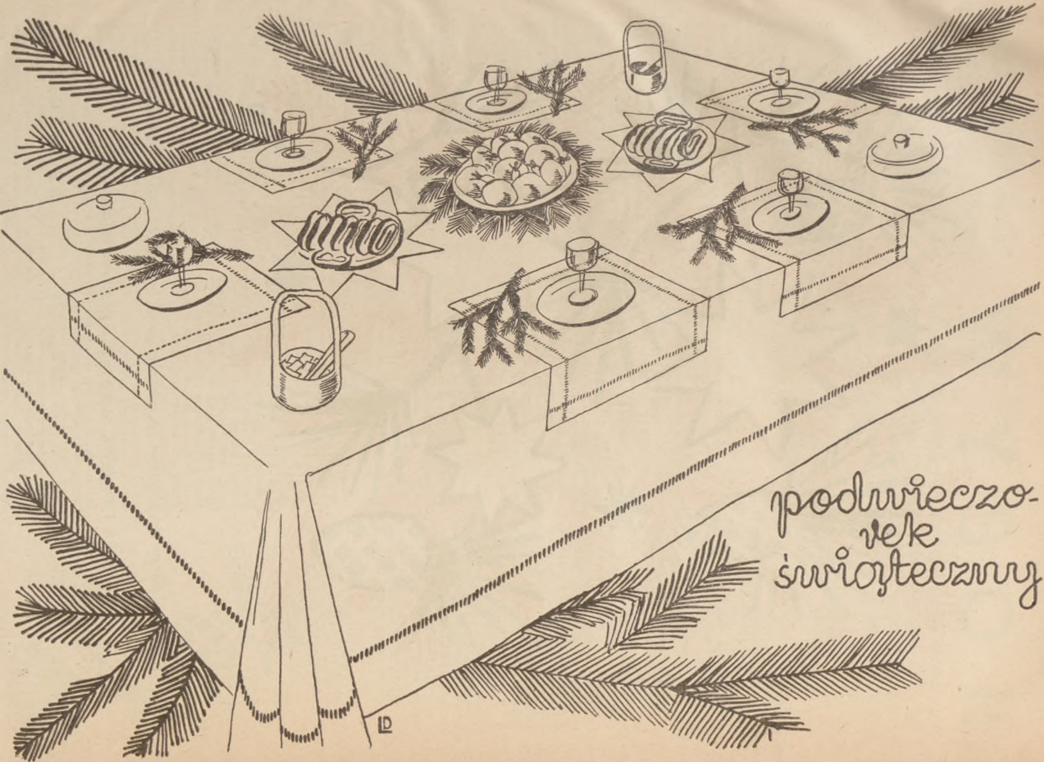
szli pastuszkowie po śniegu,
brnęli przez zaspy Królowie
w koronach złotych na głowach,
gdy cud spostrzegli.

Serce powtarza cichutko
i sercu przecież wierzymy,
że się narodził Malutki
Chrystus wśród zimy.

Wielką się prawdą staje
nieprawda, zmyślenie, legenda
i starym polskim zwyczajem
witamy Dzieciątko wszędy;

bo u nas Bóg się narodził,
jeśli nie w żłobku, to w sercach,
tu Narodzenia obchodził
swe pierwsze święto.

I tak co rok być musi,
co roku się CUD powtarza —
biały maleńki Chrystus
drży z zimna na ołtarzach.


podwieczo-
rek
świąteczny



Wszystkim naszym Czytelniczkom i Czytelnikom oraz tym, którzy nam pomagają swoją życzliwością i współpracą, zasyła serdeczne życzenia radosnych świąt

REDAKCJA

Dzień wigilijny w zagrodzie wieśniaczej

„Wigilia piękna i jutrznia jasna,
Będzie stodoła ciasna".

(Przysłowie ludowe)

Wigilia... Jaki dziwny urok kryje się w tym jednym małym, prostym słowie.

Budzi ono wspomnienia dalekiej, nieraz jakże szczęśliwej młodości, gdy w kole rodzinnym, wśród drogich nam serc, upojonych szczęściem widzenia się po długim nieraz rozstaniu, siedliśmy do wieczerzy wigilijnej, łamaliśmy się opłatkiem. A chleb Boży przechodził z rąk do rąk, wyciskał łzy szczęścia, a serca nasze zespolone w serdecznym bratnim uścisku, jeśli miały coś przebaczyć — przebaczyły, jeśli zapomnieć — zapomniały.

Wigilia, święto miłości, pokoju i zgody, jest przebogata w swej obrzędowości wśród ludu naszego.

Już od wczesnego ranka panuje ruch niezwykły w każdej zagrodzie. Dzień wigilijny jest przecież ostatnim dniem starego roku w erze chrześcijańskiej i zgodnie z wierzeniem ludu naszego, zapoczątkowuje on szczęście i nieszczęście całego roku. W wigilię Bożego Narodzenia przeznaczenie, zdaniem ludu naszego, zakreśla człowiekowi koło życia. Dola ludzka w dniu tym zaczyna swe dzieło. Gdy pierwsze przesłanki spełnią się, nie ma żadnej siły, któraby dalsze jego losy odwrócić zdołała. Wszystkie więc czynności dnia wigilijnego mają na celu zagwarantowanie sobie szczęścia i dobrobytu w przeciągu najbliższego roku.

Kobiety zwracają baczną uwagę, by domownicy wstali możliwie jak najwcześniej i z ochotą wzięli się do pracy; ma to ich uchronić przed lenistwem, zgnuśnieniem i ospalstwem. Na twarzach wszystkich jaśnieje uśmiech szczęścia i zadowolenia. Gdy pierwsza gwiazda na niebie zabłyśnie, narodzi się Pan nad Pany, Bóg prawdziwy, Odkupiciel świata, nie godzi się więc w taki dzień ani gniewać, ani złościć, ani nawet być smutnym. Nastrój dnia wigilijnego najlepiej wyczuwa młodzież, zawsze skora do psot i figli. To ceberek wywloką z chlewika i ukryją go za oborą, siekiera wędruje ze stajni na poddasze, a trepy gospodarza zarówno jak i wiele innych „drobiazgów" w rodzaju chomąta końskiego, czy też orczyka od wozu, zmienia za ich sprawą miejsce swego pierwotnego pobytu. Chłopcy wiedzą, że frycówka od gospodarza dziś im się nie dostanie, bo to jest przecież dzień wigilijny, dzień, w którym każda psota uchodzi bezkarnie.

Chłopcy pamiętają również i o tym, by wczesnym rankiem pójść do lasu z toporkiem w ręku, uciąć kilka małych choinek, poprzycinać im wierzchołki, zostawiając tylko boczne gałązki, a potem, przed wieczorem, przy pomocy dziewcząt ubrać te choinki, zwane podłaźniczkami, krążkami wyciętymi z kolorowych opłatków, czasem nawet jabłkami i orzechami. Najstrojniejszą zawiesić w świetlicy, na honorowym miejscu, w kącie, pod obrazami, inne natomiast pozawieszać, również wierzchołkiem na dół, nad drzwiami przed chałupą, w czarnej izbie, w sieni i w oborze. W nowszych czasach miejsce podłaźniczki w świetlicy, zajmują strojne pająki, robione ze słomy, kolorowego papieru i piór, oraz „światy". Starsi ludzie twierdzą, że podłaźniczki choć mniej są strojne od pająków i „światów", to jednak są one pożyteczniejsze i skuteczniejsze od nich, gdyż bronią dobytek i ludzi przed chorobami i złymi mocami, obezwładniają uroki rzucane. (Beskidy, p. limanowski i nowosądecki).

W dniu wigilijnym obowiązkiem gospodarza jest zrobić „obrządki w obejściu": gospodyni krząta się żywo koło bydlątek, dziewczęta odświętnie sprzątają chałupę, zawzięcie czyszczą okna. Czasem tylko jakiś chłopak, chcąc mieć w przyszłości pracowitą żonę, w świeżo wymyte okna upatrzonej przez siebie dziewczyny, rzuca garść brudnej ziemi, wychodząc bowiem z założenia, że jaka pracowita będzie dziewczyna w dzień wigilijny, taka będzie i przez cały rok, zmusza ją do ustawicznej pracy nad utrzymaniem czystości w izbie. Powstaje z tego chwilowy gniew dziewczyny, przekomarzanie się z zalotnikiem, a wiadomo, rezultatem tych przekomarzań są bardzo często swaty.

Niewiasty w ciągu całego niemal dnia wigilijnego nic nie jedzą, tylko dla ciężej pracujących mężczyzn ugotują czasem groch z żurem; przestrzegają usilnie, by w dniu tym nie pożyczać pieniędzy, gdyż długi trapiłyby przez rok cały; nie wpuszczą również do izby gospodarza w kożuchu, gdyż to sprowadziłoby chorobę. Gospodarz niejednokrotnie narzeka na porządki świąteczne, dla niego bowiem w izbie nie ma miejsca, a jeśli nawet gospodyni wpuści go do izby, to w niej niechętnie przesiaduje, gdyż wie, że gdy w świątecznych struclach, czy chlebie znajdzie się zakalec, winę ponosić będzie on jedynie.

Gospodyni, piekąc chleb, nie myje rąk po zarobieniu ciasta, tylko idzie do drzew nieurodzajnych, a obejmując je rękoma i głaszcząc, mówi: „rodźcie"; gospodarz tymczasem zbija w lesie jemiołę obuchem siekiery, a nie jej ostrzem, i rzuca ją na dół w ten sposób, by drugi człowiek chwycił ją w powietrzu zanim drzewko zdąży upaść na ziemię. Jemiołę wraz z woskiem kładzie później gospodarz do ula. Ma to wpłynąć na obfitość miodu (p. sieradzki).

Przed wieczorem gospodarz odświętnie ubrany, przynosi do izby cztery snopki różnorakiego zboża i w każdym kącie, stawia po jednej wiązce, by świetlica przypominała wnętrze szopki betleemskiej, w której przyszedł na świat Zbawiciel, trochę słomy i siana rozkłada na stole i pod stołem, wstrząsając weń potrochu wszelkiego ziarna, a nawet małe cebule, jabłka i orzechy, celem zagwarantowania sobie obfitości przyszłorocznych plonów; gospodyni nakrywa stół czystym, białym, lnianym, długim obrusem, razem z gospodarzem obwiązują obrus dookoła stołu powrósłem. Na stole kładzie opłatki, a na rogach stołu główki czosnku, który jako że posiada zapach bardzo ostry, ma za zadanie odstraszyć wszystkie złe moce i nie dopuścić, by jaka krzywda stała się domownikom. Przy stole znajduje się również miejsce i nakrycie dla gościa (z tamtego świata).

Gospodarz, pragnąc dowiedzieć się, jaki będzie urodzaj w przyszłym roku, rzuca w górę garść kłosów różnych zbóż, jakich kłosów największa ilość zatrzyma się na belce, ten gatunek zboża najhojniej się obrodzi.

Wszyscy domownicy z utęsknieniem oczekują ukazania się pierwszej gwiazdki na niebie, przy której blasku Pan się narodził, ona daje znak i hasło do rozpoczęcia tak radosnej i serdecznej w każdym domu polskim uczty wigilijnej. Gospodarz wraz z całą rodziną i służbą klęka i nabożnie odmawia modlitwę, po czym gospodyni w nabożnym skupieniu, zacząwszy od gospodarza, podchodzi kolejno do wszystkich osób i łamie się z nimi opłatkiem, niekiedy posmarowanym miodem, i składa z głębi serca i duszy najszczersze i najgorętsze życzenia.

„A trzy krzesła polskim strojem
Koło stołu stoją próżne;
I z opłatkiem każdy swoim
Idzie do nich spłacać dłużne;





I pokłada na talerzu
Anielskiego chleba kruchy;
Bo w tych krzesłach siedzą duchy...“

Podczas wieczerzy wigilijnej liczba osób przy stole winna być parzysta, z braku swoich zapraszają kogoś obcego do pary (by uniknąć śmierci jednej z osób), najchętniej zapraszają na tę uroczystą wieczerzę ubogiego, jako że Chrystus jadał razem z ubogimi. Niemile jest widziane trzynaście osób, gdyż taka sama ilość była na wieczerzy w Ogrójcu.

Wieczerza wigilijna składa się z nieparzystnej ilości dań i waha się od 5 do 13, w zależności od stopnia zamożności gospodarza, i ma na celu umożliwić przybytek nowych rodzajów płodów rolnych, nie wprowadzonych jeszcze w tym gospodarstwie. Rozpoczynając wieczerzę zapraszają wilka: „wilcosku, wilcosku, siądź z nami dziś do obiodku, a jak nie przydzies dziś, to nie przychodź nigdy (krakowskie), w ropczyckim natomiast mówią: „Idźże wilcku do pośnicku, pódźże dziadku do obiadku", a potem wszyscy jedzą spokojnie, wolno i długo w pobożnym skupieniu, nie wypuszczając łyżki z ręki, od czasu do czasu gospodyni lub gospodarz, nakładając nową potrawę na talerz, wymawia życzenia: „Składaj się kapusto, składaj", „Rodźcie się ziemniaki, rodźcie", „Pleń się zboże, pleń", „Kić się proso, kić (rośnij w kity) — (p. ropczycki); groch podrzucają do góry, aby dobytek mnożył się tak licznie i zdrowy „wybrykiwał" tak wysoko, jak ten groch podrzucany. Gospodarz stara się choćby spróbować każdej potrawy będącej na stole, gdyż to ma mu zagwarantować obfitość tych wszystkich płodów na jego stole w roku przyszłym. Pominięcie jakiegokolwiek dania sprowadziłoby nieurodzaj na dane zboże, jarzyny czy owoce; ominęłoby go również tyle radości w życiu, ilu potraw nie skosztował. Celem zapewnienia sobie dobrego urodzaju, przezorny Białorusin, chowając się za miskę pierogów, obrzędowego jadła, zwraca się do gospodyni mówiąc: „Czy widzisz mnie"? „Nie, nie widzę". — „Obyś również nie widziała swego pola z za kop i stogów". Dość częstym jest również, iż gospodyni, zaledwie obecni zdążyli pierwszą łyżkę podnieść do ust, wybiega do sieni i woła: „Święty Mikołaju, prosiewa cie do wieczerzy". W czasie całej wieczerzy wigilijnej nie wolno nikomu oprócz gospodyni odchodzić od stołu.

Gospodarz z każdej potrawy odkłada po łyżce dla bydła i wraz z kolorowymi opłatkami i siankiem ze stołu, rozdziela między dobytek, aby i każde z bydlątek otrzymało choćby garsteczkę paszy ze stołu wigilijnego. Chrystus bowiem, który pozwolił domowym zwierzętom być świadkiem swojego narodzenia, nakazuje człowiekowi mieć litość, pieczę i staranie nad nimi. Ziarno wykruszone ze snopa dają ptactwu domowemu. Idą do pasieki i zwiastują pszczołom radosną wieść o narodzeniu Chrystusa Pana. Nie zapominają również i o drzewach, potrząsają każdym drzewkiem, „budząc je na urodzaj", a drzewom nieurodzajnym grożą ścięciem, pukają weń, zamierzają się na nie siekierą, mówiąc: „Będzies rodziło?"' — „Będę" — odpowiada gospodyni. Powrósłem zdjętym ze stołu wigilijnego przewiązują drzewka, by obfitszy w roku następnym owoc dawały.

A młodzież czyni wróżby o ożenku i zamążpójściu. Dziewczęta pukają do chlewa: jeśli odezwie się stary wieprz — mąż będzie stary, jeśli młody — to młody (Rogoźno). Wchodzą do obory, gdzie chłopcy zmienili uprzednio dawny porządek postoju zwierząt: jeśli chwycą rękoma wołu — wyjdą zamąż, jeśli natrafią na krowę — wróży im to staropanieństwo.

Gospodyni robi użytek ze wszystkiego co było na stole wigilijnym; jabłka, orzechy, a nawet cebulę chowa skrzętnie, gdyż to będzie stanowiło skuteczne lekarstwo przeciw różnym chorobom. W niektórych okolicach siano i słomę, znajdującą się w świetlicy, rozkłada się na ziemi, stanowić ona będzie pościel dla domowników, nie godzi się bowiem nocy tej, którą Chrystus spędził na sianie, kłaść się do łóżka.

A potem kto żyw z wyjątkiem chorych i dzieci wyrusza na pasterkę.

Starsi gospodarze opowiadają młodzieży podczas drogi do kościoła, o zwyczajach dnia wigilijnego, istniejących dawniej. A młodzież słucha chciwie, jak to dawnymi czasy chłopcy w czasie pasterki zawiązywali nogi lub spódnice kilku modlących się kobiet, miało to wywołać kłótnie i swary u kumoszek, jak się z sobą pokłócą i poczubią, to nie będą chodziły na pogawędki, tylko wezmą się do roboty każda w swojej zagrodzie. Albo też dolewali do kropielnicy z wodą święconą, atramentu, aby wierni, robiąc znak krzyża świętego, czernili sobie palce i czoła. Dla wywołania w sobie większej radości spowodu przyjścia na świat Zbawiciela, obrzucali również księdza w czasie pasterki grochem. I młodzież dowiaduje się również, że wieczór wigilijny — to wieczór osobliwy i radosny. Jakby na większą cześć i chwałę maleńkiego Panjezusa, woda w źródłach zamienia się na jedną tylko chwilę w cudowne wino, czasem w wino i miód, a niekiedy nawet w płynne złoto; drzewa owocowe zakwitają w sadach i wydają nawet owoce, a ktoby pod takim kwitnącym drzewem stanął, ten zobaczyć może co się dzieje w niebie, bowiem wrota niebieskie otwierają się. Nie dosyć na tym, ptactwo i bydło domowe przemawia ludzkim głosem, woły przepowiadają gospodarzowi jego przyszłe losy. Biada jednak temu, kto z ciekawości i próżności chciałby te wszystkie cudeńka zobaczyć, śmierć niechybna go czeka...

Ciągną tłumy piesze, suną pojazdy zaprzężone w pyszne konie, dźwięczą dzwonki u skromnych chłopskich sanek. A z chwilą wejścia do świątyni Pańskiej zacierają się wszelkie różnice. Możni i ubodzy śpiewają te same kolędy, cieszą się z przyjścia na świat Dzieciątka Bożego, ślą w stronę żłóbka modły dziękczynne i pełne prośby. A maleńkie Dzieciątko uśmiecha się łagodnie i zda się błogosławić swemu ludowi.

Mgr. *Aurelia Szwalmowa*

K o l ę d y

Trudno sobie wyobrazić święta Bożego Narodzenia bez śpiewania kolęd. Jak Polska długa i szeroka: od Pomorza do Karpat, od Polesia po Śląsk i Poznań, wszędzie rozbrzmiewa kolęda i wszędzie ta sama. Śpiewa ją wieś i miasto, dziecko i dorosły, prostaczek i uczony, śpiewamy ją w kościele i w domu, śpiewamy ją w każdym nastroju ducha, bo do każdego możemy dobrać odpowiedni tekst i melodię. Śpiewana we wczesnym dzieciństwie i głęboko wszczepiona w serce, wędruje z emigrantem do odległych nieznanych mu i obcych krain na dobrą i złą dolę. Tam, na obczyźnie, daje mu wrażenie Ojczyzny, przenosząc duszę jego utęsknioną do oddalonego kraju. Na prostych słowach kolędy, matki uczą dzieci swe, zrodzone na obczyźnie, mowy ojczystej, uczą kochać kraj rodzinny. Kolęda wędruje i do okopów wojennych. Gdy w 1915 r. w wigilię, z okopów francuskich ozwały się tony kolędy polskiej, śpiewanej przez ochotników polskich, odpowiedziała im także kolęda z niedalekich okopów niemieckich. Śpiewali ją Polacy zmuszeni służyć w armii niemieckiej. Tej nocy ci „wrogowie" nie strzelali do siebie.

Kolędy tworzyli przed wiekami ludzie prostego umysłu i wielkiego serca, przepełnionego miłością Chrystusa.

Pierwsza kolęda została nam przekazana w rękopisie z 1424 roku.

Kolęda nie jest modlitwą, lecz pieśnią religijną, której główny element stanowi uczucie radości z powodu narodzenia Chrystusa Pana. Wiele kolęd ze względu na swe zbyt realistyczne ujęcie i niejednokrotnie wybujały humor, nie nadają się do śpiewania w kościele.

Treścią większości kolęd jest podróż Najświętszej Marii Panny i św. Józefa do Betlejem, trudności w wyszukaniu noclegu, Narodzenie Chrystusa Pana, wybieranie się naszych pastuszków w drogę oraz przybycie ich z darami dla Dzieciątka do Betlejem. I tak N. M. P. zmęczona długą drogą daremnie zwraca się do ludzi z prośbą o użyczenie jej miejsca na nocleg, wszędzie spotyka Ją odmowa, gdy:

„poszła do chłopków, o nocleg prosiła—
Tam się z niej wyśmiewali,
Pieskami wyszczuwali —
Pieski nie szczekały,
Przed Nią poklękały..."

Święta Rodzina zmuszona była szukać gdzie indziej schronienia weszła do zagrody ubogiego kowala, jednakże i tu doznała niepowodzenia. Wprawdzie kowal użyczyłby Jej z chęcią gościny, lecz chatkę posiadał maleńką, a dzieci w domu jest spora

gromadka. Widząc jednak ogromne zmęczenie N. M. P. ofiarowuje Jej nocleg w szopie (poznańskie). W tej to szopie narodził się Zbawiciel. W nagrodę za dobre serce stał się cud, gdyż:

„Kowalowa córka, co ręków nie miała
I tak prędziusieńko do szopy leciała —
„Kowalowa córko, podaj my Dzieciątko"
„Jakże ja mam podać ,kiedy ręków nie mam?"
Ona się schyliła i ręce nabyła.
Przenajświętszej Pannie Dzieciątko podała.
Do domu leciała, rękamy chlastała.
Matka się jej pyta, skąd ręce dostała?
„Ta my Pani dała, co noclegu chciała,
żebym Jej Dzieciątko, żebym Jej podała"

O narodzeniu Chrystusa Pana, który światło dzienne ujrzał nie w pałacach, lecz w biedzie, na sianku, w szopie wśród bydlątek, dowiadują się najpierwsi nie królowie, lecz pastuszkowie — ludzie prości, biedni:

„Anioł z nieba budzi
Naprzód prostych ludzi:
Pastuszkowie prędzej wstajcie,
W szopie Pana powitajcie,
Co się dla was trudzi..."

Pasztuszkowie pełni trwogi a zarazem radości, pragną iść i pokłonić się pięknie swemu Panu, lecz droga, którą mają przebyć, nie jest łatwa i prosta:

„Ot, trzeba iść do Wieliczki, potem do Pinczowa,
A z Pinczowa na Bielany, potem do Głogowa,
Zaś z Głogowa do Mogiły będzie już pół drogi...
Zaś z Mogiły do Skalmierza, a potem na Tyniec
A zaś z Tyńca do Betlejem, to już drogi koniec..."

Martwią się wielce pastuszkowie, gdyż z pustymi rękoma nie chcą pójść powitać Pana:

„Z czemże się tam pokażemy, my pastuszęta,
Gdy nie mamy nic godnego, my niebożęta?
Torby próżne, w nich ni sera niemasz, ni chleba
Dla Panięcia zesłanego nam wszystkim z nieba.
Weźmy z sobą z trzody naszej choć po baranie,
przyjmie od nas malusieńkie to śliczne Panie
Wreszcie i serca naszego Mu nie żałujemy.
Niem Panicza po kolędzie dziś udarujemy..."

Tak przybyli pastuszkowie do stajenki, w której narodził się Chrystus, oddają pokłon Dzieciątku, składają Mu swe skromne dary, a:

„Dziecię się cieszyło
Dary przytuliło
I pasterzów i pasterki..."

a pasterze są:

„Pełni zdumienia
Że się Bóg tak zniżył
Do swego stworzenia.
Padli przed Nim na kolana
I uczcili swego Pana..."

Domorosły poeta widział oczyma duszy szopkę betlejemską taką, jakiej wzory miał przed sobą na każdym kroku. Betlejem to była wioska, w której żył. Pamiętając, że Chrystus urodził się zimą, czuł fizycznie mróz zimy polskiej, musiał więc współczuć temu maleńkiemu Jezuskowi:

„Leży nagusieńki, płacze z zimna
Nie dała Mu Matusia sukienki
Bo ubogą była...



Ciężkie warunki w jakich znalazł się Pan, starają się złagodzić choć trochę zwierzęta i anieli:

„A tam osioł z wołem
Pod nieba okołem
Parę weń chuchają
Dzieciąteczko ogrzewają.
Wejdą w szopkę... i mali
Anieli strugali
Złotą wierzbę i lipkę
Dzieciątku na kolebkę.
Jeden kąpiel grzeje
A drugi się śmieje,
Trzeci pieluszki suszy,
Każdy rad służy z duszy.
Czwarty jeść gotuje
Piąty usługuje.
Szósty po szopie stąpa
Rzeczy do kąta sprząta..."

Chłopcy nasi mają serca dobre, gdy widzą, że Dzieciątko zaczyna płakać, martwią się, naradzają:

„A cóż z tą Dzieciną będziem czynili,
Pastuszkowie mili, że się nam kwili?
Zaśpiewajmy Jej wesoło
I obróćmy się raz w koło
Hoc, hoc, hoc, hoc..."

I śpiewają pastuszkowie chóralnie:

„Dzieciątko się do pastuszka uśmiecha
Każdy sobie z nich swobodnie oddycha,
Przystanęli pastuszkowie wokoło
Zaśpiewali Jezusowi wesoło..."

Śpiewają i solo, jak który umie:

„Kuba dobył głosu baraniego,
Aż się Józef stary przestraszył od niego.
Więc rzecze mu Józef: Nie śpiewaj tak pięknie.
Bo się Dzieciąteczko twego głosu zlęknie"...

to znowu:

„Stach
Przygrywał bardzo pięknie, aż ono Dzieciątko
Wzniosło rączkę błogosławić, małe pacholątko..."

Dla większego rozweselenia Jezuska:

Góral śpiewa, podskakuje,
Po piętach się poklaskuje,
Ciska siekierkę do góry,
Przeskakuje ławy, góry
Z radości..."

Dzieciątko nie przestraszyło się, lecz wprost przeciwnie:

„I gra była i śpiewanie
Tak, że aż niebieskie Panie
Rączkami klaskało, nóżkami tupało..."

Pastuszkowie starają się zabawić Boskie Dzieciątko różnymi figlami, nawet Najświętsza Panna nie mogła utrzymać powagi:

„Marya, choć się trzymała
Długo, i Ta się rozśmiała...“

I ptaszęta przyłączają się do ogólnej wesołości, i one starają się rozweselić swym śpiewem Nowonarodzonego:

„Słowik zaczyna dyszkantem,
Szczygieł mu dobiera altem,
Szpak tenorem krzyknie czasem,
A gołąbek gruchnie basem,
Wróbel, ptaszek nieboraczek,
Uzięblszy, śpiewa jak żaczek.
Zając, siedząc z królikami,
Bębnił swojemi nóżkami.
Więcej tam było wszystkiego,
Niżeli w Arce Noego...“

Radość z powodu przyjścia na świat Zbawiciela panuje wszędzie, nawet drzewa dla upamiętnienia tej radosnej chwili rodzą owoce na opak i tak:

„Jabłka na dębinie, gruszki na sośninie,
Na wierzbinie wiśnie, na śliwinie trześnie;
Bez zakwitł figami, jesion rodzynkami,
Na głogu brzoskwinie, migdał na tarninie,
Miód płynie z kloniny, oliwa z brzeziny...“

Gdy już pastuszkowie nacieszyli się Dzieciątkiem, przybyli do stajenki trzej królowie, gwiazda, która ich do stajenki przyprowadziła była:

„Bardzo iście jaśniuchna
A takowy kształt mająca:
W gwieździe Dzieciątko było
A na głowie swej krzyż miało...“

Drugim bardzo ciekawym motywem kolęd jest ucieczka Świętej Rodziny przed mściwym Herodem. I te kolędy nie przedostały się do kościoła i nie są śpiewane w nim ze względu na nadmiar cudowności. Marya, uciekając z Dzieciątkiem przed pogonią, napotyka chłopka orzącego i siejącego pszenicę. Do niego to zwraca się Boża Rodzicielka mówiąc:

„Siejże chłopku, w imię moje,
Będziesz zbierał jutro swoje...“

Następnego dnia żołdacy, idący śladami za Maryą:

„Napadli chłopka w polu orzącego
I pszeniczkę w snopy wiążącego...“

Pytają go, czy tą drogą przechodziła Marya. Chłopek odpowiada twierdząco, na pytanie jednak kiedy? odpowiada:

„Jeszcze się ta pszeniczka siała.
Kiedy Marya tędy bieżała...“

I pogoń zawróciła z drogi, poszła w inną stronę szukać śladów, a tymczasem Marya:

„W ciemnym lasku nocowała,
Z lodu ognia krzesała,
Pana Jezusa ogrzewała,
W pieluszki go obwijała,
I do siebie przytulała...“

Kolędy są odbiciem różnych czasów i różnych form życia w przeciągu kilku wieków. Od wieku 17 tworzone czy to przez domorosłych poetów, czy też przez poetów wielkiej miary, przybrały charakter ściśle polski i tak np. Kazimierz Gliński rzucił w świat kolędę:

„Hej, na polu, na judajskim,
Zebrały się Mazury,
Bo złocista, promienista,
Wyszła gwiazda z za chmury.

— — — — — — —

Porobili wnet supełki
I pognali wzdłuż Wiselki,
Do Betleem prosto...

Po wielu przygodach dotarli do stajenki:

„Wtem Mazury hukną zgóry,
Hej, kolęda, kolęda:
A Jezusek podniósł brewki,
Wżdy nie słyszał takiej śpiewki,
Mazurów nie widział.
— A skąd chłopcy? — Spod Warsęgi,
Przyszliśmy tutaj z darami,
Nasze wioski — Synu Boski,
Nawiedź swymi stopami,
Złotym zbożem łan zakwitnie,
Spotężnieją kłosy żytnie,
Ziemia się odrodzi.

— — — — — — —

Aż niebieski syn królewski
Uczuł rosę pod rzęsą.
Siadł na sianku w swej izdebce,
Do Mateńki coś tam szepce,
Józefa się radzi.
— Wracaj Kubo, Bartku, Stachu,
Na równiny piaszczyste,
Wasze dary są bez miary,
Wasze serca złociste,
Przyjdę do was, będę z wami
Byście mymi szli śladami
A szli krok za krokiem... i t. p.

Trudno jest wyliczyć tę przeogromną masę kolęd. Są niektóre bardzo proste w swej formie, są i wykwintne, są naiwne, skromne; są i wytworne; są typowo ludowe i są noszące wybitne piętno twórczości literackiej, mogące dać wzruszenie artystyczne wyższego stopnia. W kolędach jest i bujny temperament; jest i zaduma i tęsknota; jest rzewność i czułość; jest i humor i wesołość.

Kolędy możemy podzielić na trzy zasadnicze grupy: 1) kolędę apokryficzną — z przewagą elementów fantastyczno-cudownych, 2) kolędę pasterską — z przewagą elementów charakterystycznych i życiowych, oraz 3) kolędę — w najściślejszym znaczeniu tego słowa — nabożną pieśń na Boże Narodzenie. Do tej ostatniej grupy należą kolędy najbardziej rozpowszechnione, najwięcej znane, śpiewane najczęściej i wprowadzone do kościoła. Tutaj należą takie kolędy, jak: „Anioł pasterzom mówił“, „W żłobie leży“, „Bóg się rodzi“, „Gdy się Chrystus rodzi“, „Tryumfy Króla niebieskiego“, „Lulajże Jezuniu“, „Ach, witajże pożądana perło droga z nieba“, „Przybieżeli do Betlejem pasterze“ i inne.

Kolędy w większej części są bezimienne. Dla poezji kolędowej podobnie, jak i dla poezji ludowej, kwestja autorstwa jest rzeczą obojętną. Do rozwoju kolęd w Polsce ogromnie przyczynił się zakon Franciszkanów, śpiewając przy jasełkach pieśni nabożne w języku łacińskim. W miarę rozwoju jasełek, kolędy łacińskie zaczęto tłumaczyć na język narodowy polski, a później już tworzono nowe, oryginalne — polskie. Do takich kolęd, tłumaczonych z języka łacińskiego, należy „Anioł pasterzom mówił“. Spośród polskich wybitniejszych poetów, twórczość w zakresie kolęd przejawiali: Kochanowski, Grochowski, Miaskowski, Karpiński: „Bóg się rodzi“, Słowacki: „W złotej czaszce“, Lenartowicz i inni. Jednak nie wszystkie ich kolędy przyjęły się, gdyż są za bardzo „literackie“.

Mgr Aurelia Szwalmowa



Przesądy i wierzenia łowieckie

Słynęła zawsze Polska z lasów i pól urodzajnych, oraz dzielnych myśliwych. Nie brak było nigdy zwierza łownego. To też od św. Huberta panował rumor i zgiełk niemały w kniejach. Wszystko polowało. Nie było kin, teatrów, miasta zaś służyły jedynie za miejsce chwilowego pobytu, związanego z interesami politycznymi lub handlowymi. Łowy były tedy terenem zbliżania się i poznawania ludzi między sobą, wymiany zdań, podawania z ust do ust wiadomości o świecie. Jednym słowem myśliwstwo to najpopularniejsza wśród wszystkich ziemiańsko - szlacheckich rozrywek. To też widmo łowieckich zabobonów, zrodzone w zamierzchłych czasach, w puszczy odwiecznej z poszeptów drzew i westchnień wiatrów leśnych, podbija ówczesne dusze myśliwskie i panuje nieprzerwanie a wszechwładnie do naszych czasów.

Powodzenie na łowach było dla pierwotnego człowieka kwestią życia. Łowiectwo karmiło go, ochraniało przed zimnem futrem zwierza. Nie dziw więc, że myśl jego zagłębiała się w tajemnice powodzeń i niepowodzeń łowieckich, co stało się źródłem myśliwskiego zabobonu. W zaraniu naszych dziejów zaczarowane łowy napełniają puszcze zgiełkiem i wrzawą; polują duchy leśne, duchy umarłych wojowników i dawno zaginionych łowców. Polują nocą przy księżycowej poświacie, a kto posłyszy goń psów i głosy trąb łowieckich — ten zginie. Jeśli zaś żyć będzie, nigdy szczęścia nie zazna na łowach. Myśliwiec słowiański obawia się złych duchów, które wodziły zbłąkanego łowcę po błotnych borach i rozległych mławach i prowadziły na śmierć niechybną. Aby przezwyciężyć ich chytrą przebiegłość musiał znać łowca magię tajemną, dziwne zaklęcia i czarodziejskie zioła.

W Polsce pogańskiej wszelkie łowy na grubego zwierza poprzedzały wróżby kapłanów z jelit i z lotu ptaków. Z parskania łowieckich rumaków wnoszono o pomyślności lub niepowodzeniu przedsięwzięcia. Słuchano władnego głosu wróżby, czyniąc ofiary Redegastowi, bożkowi łowców.

Od najwcześniejszych dni chrześcijaństwa istnieje wiara, że polowanie w święta przynosi nieszczęście. Przestrzega tego „prawa bożego i kościelnego" każdy myśliwy. Kazimierz Wielki, polując na jelenie w dzień Matki Boskiej, spada z konia i w tym samym roku z potłuczenia umiera, wielu zaś zginęło za karę w takich bezbożnych łowach. Czasem w podobnych wypadkach cud niezwykły zsyła myśliwemu od Boga przestrogę. Pewien szlachcic na polowanie poszedł w jutrznię, w dzień Wielkiej Nocy i zabił zajęcy szesnaście, a gdy ostatniego chciał zabić „rusznica nie puściła, zając za rusznicę ułapił, drudzy powstali". Gdzieindziej dla ukarania grzesznika „sarna w sieci zamieniła się w wilka".

Niektóre zwierzęta mają w pojęciach łowieckich specjalne czarodziejskie siły. Król puszczy żubr odznacza się wzrokiem bazyliszka; na kogo spojrzy i wzrok jego zdoła na siebie przyciągnąć, temu serce zamiera w śmiertelnej trwodze, kamienieje z wrażenia i ginie pod kopytami zwierza. Język żubra, to również narzędzie mordercze i dotknięty nim myśliwy, zostaje przyciągnięty przez czarodziejską siłę; zanim broni użyje powalają go i zgniatają na miazgę straszliwe rogi leśnego olbrzyma! Poza tym zwierzyna stała się dla zabobonnego łowcy niewyczerpanym źródłem



Wbijanie klina.

„czarodziejskich remediów", odwracających chorobę i śmierć. Każda jej część posiada niezwykłe cnoty i zalety. Mięso jelenie „febry oddala", dzicze „krew czystą mnoży". Sadło bobra leczy „żyły narwane" i chroni od „nagłej śmierci". Krew wilcza pomaga ludziom, którzy krwią plują.

Nasz przesądny myśliwy jest tego przekonania, że spotkanie żyda w drodze na polowanie jest dobrą wróżbą; nie pójdzie on natomiast na łowy w dniu, w którym wstał z łóżka lewą nogą, lub włożył futro na lewą stronę; zawróci z drogi do domu, gdy spotka starą babę, lub gdy ktoś życzy mu pomyślności. Nie zawrócił z drogi możny pan Sieciech z orszaku Bolesława, gdy potknął się koń jego. Ubito tymczasem na polowaniu wiele żubrów, a w końcu ruszyło całe towarzystwo myśliwskie w kierunku legowiska, gdzie według zebranych wiadomości miał się przyczaić nadzwyczajny okaz żubra. Myśliwi nazywają taki egzemplarz odyńcem, ponieważ błąka się samotnie i nie łączy ze stadem. Zwierz szczuty psami i płoszony oszczepami, pędził prosto na Siesiecha, ten zaś rzucił się na ziemię w nadziei, że żubr poleci dalej. Stało się jednak inaczej, bo „zwierz srożny w gniewie, stratował go naprzód kopytami, potem porwawszy na rogi, podrzucał jak piłką kilka razy, wreszcie stratowanego i nawpół umarłego wrzucił pomiędzy krzaki i ciernie".

Na szczególną uwagę zasługuje gwara myśliwska, która niewątpliwie zawdzięcza pochodzenie swoje magicznym zabobonom. Jak bowiem wiadomo, słowo posiada według ludowego przesądu moc czarodziejską. Przysłowie „Nie wywołuj wilka z lasu" stworzył zabobonny myśliwy. Miało ono przestrzegać brać myśliwską przed nazywaniem wilka właściwym mianem, co przynosiło nieszczęście na łowach. Nazywa się go więc do dnia dzisiejszego „kobylarzem" lub „basiorem", bo w słowach tych mieści się czarodziejska moc ochronna, podczas, gdy wymówienie słowa „wilk" ma być magicznym wywołaniem straszliwego drapieżnika z jego kryjówki. Oczy wilka nazywa myśliwy lampami, zęby kłańcami, głowę latarnią. Zając zwie się w gwarze myśliwskiej kotem, lis — mykitą, niedźwiedź — misiem. Nic sobie nie robił „z najświętszych przekonań myśliwskich" wytrawny łowca Odolanicki, ale też został w końcu srodze ukarany, bo oto opowiada w swoich pamiętnikach: „Niedź-



Myśliwy przywiązujący przed polowaniem do ręki kartkę z zaklęciami.

wiedź mnie przywitał łapą w wierzch głowy tak, że mnie z tym światem mało nie pożegnał, bo mi czerep aż do mózgu pazurami rozdarł. Tak mi się miłe łowy nieszczęśliwie udały, że lubom go ubił i skórę z niego zdarł, alem jego mocno przypłacił, gdy mi kości szły rzęsiście z głowy mojej".

A oto opowiadanie zabobonnego Nemroda: „Psy moje szarpiąc potężnego odyńca, pędziły go obces na mnie. Ciągnę za cyngiel, nie spuszcza kurków, ciągnę za drugi —to samo się dzieje, a tu odyniec pod nogami. Ledwie się wygiąłem, jak z gutaperki ulany, a już mnie potwór tnie kłem szczęśliwie, bo przeciął jedynie kożuch, nie zostawiając śladu na mej skórze. Włosy czapkę podniosły, krew mi do głowy uderzyła i poty mnie oblały, lecz mi psów żal,



przekonany, że im się odyniec da we znaki. Podskal-uję kilka kroków i chcę puścić moje sztofy, lecz znowu kurki odmówiły posłuszeństwa. Ot, znowu tajemnica. Psy osaczały kilka razy zwierza, sądząc po głosie. Mnie zaś poczęła febra trząść, z wysileniem dobiłem do domu i rzuciłem się na siennik, dzwoniąc zębami. Żadna pościel i kożuchy ogrzać mnie nie mogły. Po tej lodowatej godzinie poty na całe ciało wystąpiły. Przeleżałem jeszcze chwilę, wstałem i oczywiście poszedłem do mojej zepsutej w zamkach strzelby, ale — o dziwo — obydwa cyngle doskonale spuszczały. Że to był urok, o tym jestem przekonany, lecz kto go rzucił, tego do dnia dzisiejszego dociec nie mogę, ten zaś odyniec wydaje mi się zaczarowanym".

Jan Wierzbówka

Sto siwych Koni

Dzwonek. To Helenka wraca z biura. Strzepnąwszy śnieg z futerka, wpada do kuchni:

— Mamusiu, dzisiaj na mieście widziałam trzy siwe konie! Mam już okrągłą setkę!

Na pulchnej twarzy p. Ciesielskiej rozlał się radosny uśmiech:

— Chwała Bogu, może to dobry znak. Zjesz co?

— Nie, bo widzę, że Zosia weszła mi w paradę i stroi choinkę. Przepędzę ją do innej roboty!

Pani Ciesielska miesza gotującą się masę z czekolady i już do siebie mówi:

— Daj Boże! Byle szczęśliwie trafiła.

Antoniowa furczy makutrą i rośnie z ciekawości:

— A to proszę łaski starszej pani, dlaczego panienka taka uszczęśliwiona z tych siwych koni?

— Wyczytała gdzieś, moja Antoniowo, że jak panna znajdzie sto siwych koni, to pierwszy mężczyzna, jakiemu poda rękę w wigilijny wieczór, będzie jej mężem...

— I to prawda?

— Jeszczem się nie przekonała.

— A jak we wigilię taka panna nikogo nie spotka? Przecież goście w ten wieczór nie chadzają.

— O, tak się Antoniowa ciekawi, jakby była panną. Czy to na wieczerzę nie przybywają czasem goście? A na Pasterce nie spotykamy znajomych? Dość ma już ten mak, trzeba rybę czyścić.

Antoniowa prostuje zmęczone plecy.

— Daj Boże, aby panience trafił się porządny człowiek! Jak na ten przykład nasz młody pan...

Chwila ciszy. Kobieta oczyszcza pałkę z maku,nie widzi, że starsza pani groźnie patrzy w jej stronę.

— Co Antoniowa powiedziała? Trzeba splunąć trzy razy, aby się słowa nigdy nie spełniły. Panienka ma za takiego wyjść, jak młody pan?

Podeszła bliżej Antoniowej i szeptem zaczęła mówić:

— To młokos, hulaka, gdzie się ruszy, ma świeżą kochankę. — Córka oburza się na mnie, jeśli jej to mówię, ale ja się nie mylę! Ja dużo w życiu widziałam!

Szept przeszedł w mocniejszy głos, bo p. Ciesielska układa na blachę pokrojone makagigi, aby je wsunąć do pieca.

— Starał się o młodą panią stateczny człowiek, na stanowisku, a choć poważniejszy wiekiem, pani byłaby za nim szczęśliwa. Co jednak mogłam zrobić? Prosiłam, płakałam, groziłam nawet, nic nie pomogło: pobrali się! Ja z nim nie mówiłam do śmierci mego męża, ale później musiałam się tu sprowadzić z panienką. Nie można było inaczej. Już blisko dwa lata patrzę na krzywdę mego dziecka.

— To pan bije młodą panią?

— Cóż Antoniowa myśli? Tylko przez bicie jest krzywda? Bieda ją bije! Pan nie dokończył nauki, dziś ledwie zarobi na kawałek chleba. Jeszcze i tym marnym zarobkiem napewno dzieli się z inną! Co to, żeby w przyzwoitym domu służącej nie było, a tylko posługa? Ja tego znieść nie mogę. Pani uparła się, mówi, że niby mało roboty jest, to się bez sługi obejdzie. Ja wiem, że to pana robota, byle oszczędzić kilka groszy, byle starej matce nie pozwolić odpocząć. Za tamtym pływałaby we wszystkim, mogłaby wyjeżdżać, byłaby już teraz panią dyrektorową, a nie żoną buchaltera jakiegoś...

— O Jezusie! Coś się pali! — wrzasnęła nagle Antoniowa, rzucając się do pieca. Za nią pani Ciesielska. Z otwartych naraz drzwiczek piecyka buchnął swąd spalonego masła i gęsiego tłuszczu. Obie kobiety spojrzały na siebie z przerażeniem. Piękna, rumiana jeszcze przed chwilą gęś, zamieniła się nagle w skwierczący kawał węgla.



— Niepotrzebnie dokładała pani do pieca — zauważyła nieśmiało posługaczka.

— Nie mogła mi Antoniowa odradzić? — krzyknęła pani Ciesielska. — Od czego tu siedzi? Od parady? Teraz wszystko na mnie się skrupi!

W bujnym ciele starszej pani zrywają się tamy płaczu. Łza łzę goni, staczając się wielkimi perłami na obfity biust.

— Pracuj, stercz w kuchni nieprzerwanie od trzech dni, praż się nad płytą, a za to wszystko będziesz miała podziękowanie od dzieci. „Mamusia winna" — powiedzą — „nie dopilnowała!" Mój Boże, jaką radosną mam starość, a wszystko przez tego chłystka, który na kucharkę nie umie zarobić.

Antoniowa w bolesnej zadumie stoi nad gęsią. I jej się dostanie od młodej pani, a czy ona winna jest temu nieszczęściu? Starsza pani wypłacze się, w końcu spędzi na nią, i córka z matką pogodzą się rychło, tylko ona, Antoniowa, odpowie za wszystko.

Na tę smutną chwilę wpadła po coś do kuchni Helenka. Ujrzawszy spaloną gęś i tonącą we łzach matkę, zaczęła śmiać się serdecznie, niepowstrzymanie, całą pełnią swej młodej piersi.

— Cały rok będzie mamusia paliła gęsi — mówiła wśród śmiechu — a my cały rok nie sprobujemy bodaj skrzydełka tego szlachetnego ptaka!

Śmiech Helenki sprowadził do kuchni p. Zosię.

— Co mamusia zrobiła? Dlaczego Antoniowa nie dopilnowała?

Słowa pani domu były powodem nowego, potężniejszego w rozmiarach przypływu łez w piersi pani Ciesielskiej.

— Naturalnie! Kto winien? — mamusia! Mamusia, zamieniona na starość w posługaczkę, służącą, kucharkę i, nie daj Boże, w niańkę. Tak, ja winna!

Dalsze słowa zacierają się w płaczu, zresztą pani Zosia nie chce ich słyszeć.

— Antoniowa, czy z tego wybierze się coś do zjedzenia? — pyta posługaczki.

— Pewnie, że się wybierze, spalone tylko odrzucić.

— To proszę prędko zabierać, dzieciąki Antoniowej zjedzą.

Pani Ciesielska złośliwym wzrokiem mierzy córkę.

— Oddaj, oddaj! Jak Helenka dostanie pensję na Nowy Rok, to ci zwrócę te kilka groszy.

— Mamusiu, ja nie mam na to odpowiedzi!

Pani Zosia okrywa blachę z gęsią papierem i na migi pokazuje Antoniowej, co ma z tym zrobić. Już jest przy progu, gdy ją dopędzają słowa matki.

— Mlokosa ci się chciało, a teraz ja tylko muszę się męczyć!

Drzwi kuchni o mało nie wyskoczyły z zawias. Ściany zatrzęsły się, jakby w mieszkanie grom uderzył. Pani Zosia z płaczem wpadła do pokoju.

— Nie wytrzymam, nie wytrzymam — wołała do Helenki, która przed nią jeszcze uciekła z kuchni i kończyła ubieranie choinki. Czy matka może takie rzeczy mówić?

Rozpaczliwy płacz pani domu słychać było aż w kuchni.

Antoniowa całkiem zgłupiała. Ma się pod wieczór, roboty pełne ręce, a panie będą teraz po kątach płakały.

— Muszę z tą gęsią zrobić najpierw porządek — myśli kobieta i ręką ogarnia zawiniętą blachę.

Pani Ciesielska zerwała się z taboretu.

— Co Antoniowej tak pilno? Powiedziałam, że zapłacę, więc gęś jest moja! Tu nie magnacki dom, tu nie można mieć pańskich gestów! Zostawić to!

Antoniowa stoi chwilę w milczeniu, trawi nagłe zawstydzenie i patrzy na ciskającą się panią. — Wkońcu gniew ją ogarnął.

— Tfu! Ze starszą panią sam zły by nie wytrzymał! Ja potrzebuję paninej gęsi? Zapłacić mi za tydzień roboty i już mnie tu nie ma! Pani mi zapłaci, czy mam iść do młodszej pani?

Obie kobiety patrzą sobie w oczy. Na twarzy p. Ciesielskiej widoczny jest przestrach. — Ptasia twarz Antoniowej ma w sobie teraz coś sowiego.

— O co Antoniowej chodzi? Co się stało?

— A to się stało, że idę do domu! Wieczór za pasem, wigilia, ja tu nie mam czasu na marnowanie. Jaka mi niewola patrzyć na czyjeś brewerie?

— Antoniowo, uspokójcie się, weźcie już tę gęś i zaraz wracajcie.

— Nie chcę paninej spalenizny, chcę pieniędzy i basta!

Sytuacja staje się coraz poważniejsza.

— Moja droga Antoniowo — prosi p. Ciesielska — już niech się Antoniowa uspokoi. Człowiek czasem wybuchnie, ale to nie ze złego serca. To nerwy ponoszą. Co ja zrobię, jak Antoniowa pójdzie? Znów wszystko będzie na mnie. Niech się Antoniowa zlituje. Obie jesteśmy biedne, każdy nad nami może się wytrząsać.

Głośny pocałunek udobruchał zagniewaną posługaczkę. Nie rozchmurzyła jeszcze twarzy, ale starsza pani czuła, że Antoniowa zastanawia się, w jaki sposób okazać swoje przebaczenie.

— Mamusiu, mamusiu — słuchać nagle wołanie Helenki.

Pani Ciesielska zbiera w sobie całą godność i stroi nią swe dziewięćdziesięcio kilowe ciało.

— Co się stało? — pyta wyniośle, stając w progu pokoju.

— Niechże mamusia uspokoi Zosię, siedzi w sypialni i beczy, a przecież tyle jeszcze roboty! Jurek może wkrótce nadejść.

A mnie to co obchodzi? Wypłacze się, będzie miała piękniejsze oczy dla męża.

— Mamusia jest bez serca!

— Dawno to słyszałam!

Nie roniąc nic ze swej wielkości, zamknęła drzwi. W przedpokoju zostawiła całą dostojność, by skromnie wejść do kuchni i jak najsłodszym głosem przemówić znów do Antoniowej.

— Antoniowo kochana, nie ma czasu na myślenie. Proszę zanieść tę gąskę do domu, byle jej pan nie widział. Dzieciaki będą miały co jutro oblizywać. Przy kostkach będzie jeszcze sporo mięsa. O, zostało mi trochę czekolady, a i te słodkie migdały nie potrzebne, można wziąć!

Twarz Antoniowej jest obojętna, choć w mózgu przebiegają radosne myśli:

— Gęś cała jest do zjedzenia, skórę tylko odrzucić, a teraz uciekać, byle się stara nie rozmyśliła.

—A reszta rodzynek i te skórki pomarańczowe przydadzą się pani na co?

— Nie, nie, proszę wziąć i zaraz wracać.

— Obłowiła się baba — wzdycha p. Ciesielska — gęś jednak moglibyśmy sami zjeść. Skórę tylko odrzucić.

Już późny był wieczór, kiedy nareszcie odezwał się dzwonek w przedpokoju.

— Jurek dzwoni — krzyknęła p. Zosia. Na twarzy wymytej, przypudrowanej nie było widać śladu łez. Wybiegła do przedpokoju, by z niekłamanym szczęściem rzucić się mężowi na szyję — cofnęła się jednak prędko ode drzwi, bo za Jurkiem stał obcy mężczyzna.

Zaskoczona przybyciem obcego, p. Zosia powiedziała tylko: proszę i wróciła do pokoju.

— Mamy gościa... — szepnęła od progu. Na palcach zbliżyła się do matki, objęła jej głowę i ucałowała mocno w oba policzki.

— Mamusiu, zapomnijmy o gniewie, proszę rozchmurzyć twarz. Nie dziś pora na dąsy. To jakiś młody człowiek. Niech mamusia nie zapomina, że ma jeszcze córkę na wydaniu. Helenko, przypudruj lepiej nos.

Pani Ciesielska zerwała się z krzesła. Płomień jakiś zapalił się w jej sercu, oblał za moment całą twarz, aż do mózgu trafił. Spojrzała wymownie na Helenkę, jakby oczyma chciała powiedzieć:

— Sto siwych koni.

— Wiem, myślałam już o tym! — mówiło spojrzenie córki.

Kiedy panowie weszli do pokoju, p. Ciesielskiej nie było. W sypialni zrzucała codzienną suknię, którą „na złość" włożyła przed godziną i drżąc z niepokoju, stroiła się w najlepszą.

— Panie darują... tak niespodzianie... — dolatuje jej uszu głos obcy, silny, o miłym brzmieniu. Po słowach Jurka straciła do reszty panowanie nad sobą. Chce jej się płakać.

— Nikt nie ma nic do darowania — mówił Jurek. — Panie będą zadowolone, że sprowadziłem gościa na wieczerzę. I to jakiego gościa! Klękajcie narody! Janek Zagozda! Major W. P. w rezerwie, doktór filozofi w dyplomie, zastępca samego starosty w Nieradzie i mój serdeczny druh w przeszłej już doli i niedoli żołnierskiej. Kopę lat nie widzieliśmy się. Zosiu, przyjmij go sercem, bo wart tego!

Pani Ciesielska wchodziła do stołowego pokoju, kiedy gość witał się z jej córkami. Podszedł i do niej. Spojrzeniem szybkim, jak myśl, objęła z bliska jego postać i poczuła głębokie zadowolenie.

— Zosiu, siadajmy zaraz do stołu, bo głodni obydwaj jesteśmy jak wilki — wołał Jurek — byliśmy uczciwi, nie wstąpiliśmy do żadnego baru!

Ceremonia dzielenia się opłatkiem przeszła dość prędko. Życzono sobie wszelkiej pomyślności, szczęścia, pieniędzy, wszystkich dobrodziejstw losu i długiego życia. Kiedy Zagozda podszedł z opłatkiem do p. Ciesielskiej, spytała go z czarującym uśmiechem:

— Czego mam panu życzyć? Najważniejszego nie wiem: Stan cywilny?

— Kawaler, proszę pani.

Helence zadrżały nogi, pragnęła usiąść w tej chwili, a p. Ciesielska, tłumiąc radosne westchnienie, życzyła gościowi:

— Dobrej, uczciwej i ładnej żony.

Gość wziął na rewanż!

— A mnie niech będzie wolno życzyć szanownej pani dobrego i uczciwego zięcia. Los obdarzył już panią jednym, niech ten drugi będzie podobnie zacnym... Zresztą myślę, że nie potrzeba moich słów dla scharakteryzowania Jurka, pani sama wie. Życzę podobnego!

— Daj Boże! —rozrzewniła się p. Ciesielska — niech tylko młodsza córka będzie tak szczęśliwa jak starsza, niech dostanie takiego męża, będę mogła spokojnie umrzeć.

— Siadajmy, siadajmy! — krzyczał Jurek — zaczynamy od rybki i czystej, prawda, Zosiu?

— Wolałabym od zupy — uśmiechnęła się pani domu.

— Nie, nie! Pływająca rybka zaczyna wieczerzę, tak nakazuje tradycja!

Pani Ciesielska chce być dzisiaj uprzejma dla zięcia.

— Wiesz, jak było w domu twoich rodziców, to samo wnieś do swojego. Pan domu zawsze nadawał charakter wieczerzy wigilijnej, to jego prawo, prawo patriarchalne.

— A więc pod to prawo i za zdrowie najlepszej z teściowych — rzuca Jurek, nalewając kieliszki.

Zagozda siedząc przy Helence, sili się na jakieś powiedzenie. Zaciekawia go ta przystojna panna, z którą nie zamienił jeszcze prawie słowa. Patrzy na jej ładne ręce, ręce kobieciątka i mówi:

— Prześliczną kameę ma pani na palcu. Jakiś antyk.

Helenka chce zachować swobodę. Nie patrząc jednak na swego towarzysza, odpowiada żywo:

— A tak, to klejnot rodzinny, portebonheur moich babek, ale mamusia każe

m go oszczędzać, nie pozwala nosić. Ile-kroć go jednak włożę, zawsze mnie spotyka coś bardzo miłego.

— Czy i dzisiaj to samo?

— Może...!

W pokoju robi się coraz serdeczniej, coraz swobodniej.

— Powiedz, chłopie, czemuś się nie ożenił dotychczas? — pyta Jurek Zagozdę — jesteś przecież starszy ode mnie.

— Moja pół-gruszka wiruje jeszcze w przestrzeni, nie możemy się spotkać, choć, prawdę mówiąc, boję się tego spotkania.

Pani Ciesielska podnosi głowę z nad talerza, chlebem ucierając usta.

— Dlaczego?

— Jestem dość władczy w charakterze, a dzisiejsze panny, to nie te dawne, co to umiały być jeno „bluszczem i powojem" dla mężczyzny. Żebym to spotkał taką „powojowatą"! —ośmiał się wesoło.

— Tak, to jest cały czar, cały majątek kobiecie! — zauważyła uprzejmie p. Ciesielska.

— Mamusiu! — zawołała gorąco Helenka — to anachronizm, to śmieszność w dzisiejszych czasach! Wyobrażam sobie bezrobotnego męża z takim majątkiem!

— Słusznie! — zwrócił się Zagozda do Helenki—ale ja znów należę do mężczyzn, którzy nie rozumieją bezrobocia, którzy muszą i umieją pracę znaleźć, a wtedy dają żonie to, co dać mężczyzna powinien!

Pani Ciesielska z uznaniem kiwa głową, podczas gdy dusza jej pławi się w modlitwie.

— Boże, jak zechcesz, dzień ten może być szczęśliwym dniem mojego życia. Żyłabym bez troski o Helenkę. Panie, gdy tylko Ty zechcesz...

Patrząc na Zagozdę, wyliczała jego walory na męża:

— Przystojny, wykształcony, na dobrym stanowisku, maniery wskazują, że musi być z dobrego domu, tylko ta Helenka jest nieznośna.

Rzuca porozumiewawcze spojrzenie na córkę, która udaje, że nic nie widzi i z zaciętością młodego mózgu, a wbrew przekonaniom pana wice - starosty, nie odstępuje od swoich pojęć i broni ich do ostatka. Pani Ciesielskiej robi się słabo ze złości. Na szczęście Jurek podnosi się od stołu i zapala świeczki na choince. Zrywa się dyskusja, wszyscy patrzą na drzewko, myśl posyłając tam, skąd płynie radość i wesele dzisiejszej nocy Cudu.

— Lulaj-że, Jezuniu, lulaj-że, lulaj — intonuje Jurek.

— A ty Go, Matulu, w płaczu utulaj — podchwytują obecni. I płynie przemiła pieśń, pieśń nigdy nie przeżytego wdzięku, a świeczki mrugają uroczyście, gubiąc gorące kropelki, co jak łzy szczęścia czepiają się jodłowych gałązek.

Malowane Dzieciątko Jezus patrzy z góry choinki. — Nagle zda się ożywiać Jego oblicze. Śmieją się boskie usteczka, a oczy w dobrotliwym wyrazie patrzą długo na głowy Helenki i Zagozdy. Z wzniesionej rączki bożej spływa złoty promień, po którym schodzi na świat Przeznaczenie ludzkie.
Al. Sierpińska

KONIEC.



Gwiazdki i gwiazdory

Jak z Wielkanocy najmilszy był nastrój wiosenny, tak z Gwiazdki najwięcej lubiłyśmy nastrój pewnej tajemniczości, jakim była otoczona. Oczywiście lubiłyśmy i co innego jeszcze: robienie ozdób na choinkę, pieczenie pierników i strucli, oczekiwanie prezentów... Ale z tym wszystkim była taka sprawa, że na ogół mało mogłyśmy tam zdziałać. Wprawdzie robiłyśmy także prezenty dla rodziców i uczyłyśmy się wierszy, ale tego to już żadną miarą do przyjemności zaliczyć się nie dało.

Robienie ozdób zaczynało się już w listopadzie. Codziennie po podwieczorku lampa zjeżdżała nisko nad stół założony glansowanym papierem, kolorowymi bibułkami, miseczkami z klejem i srebrną lub złotą brązą i zaczynała się fabrykacja. Szczyciłyśmy się tym, że nasza choinka jest „polska" — że nie ma na niej szklanych niemieckich ozdób. Ale, nawiasem mówiąc, same mało przyczyniałyśmy się do tej polskości. Te wszystkie wycinanki były trochę zbyt misterne dla ośmio — czy siedmioletnich paluszków. Gdy porównywałyśmy dziwolągi zrobione przez siebie z pięknie wykończonymi arcydziełami panny Cecylii, opadało nas kompletne zniechęcenie. Kończyło się na tym, że nawlekałyśmy tylko łańcuchy i pomagałyśmy pannie Cecylii. Jej też zawdzięczała nasza choinka swoją barwną szatę.

Pieczenie pierników było może bardziej emocjonujące, ale i tu mało mogłyśmy pomóc. Jedyna praca, którą powierzano nam chętnie, to było tłuczenie korzeni w moździerzu, a to dlatego, że były one już zbyt niesmaczne, żebyśmy je mogły wyjadać. Zato rodzynki, figi i orzechy dziwnie topniały nam w rękach.

Oczekiwanie prezentów — to było stanowczo najmilsze. I to już ściśle łączyło się z tą tajemniczością. Kilka tygodni przed Gwiazdką zaczynałyśmy pisać listy do Gwiazdora. Najpierw na brudno. Potem na czysto — na blado-lila listowym papierze. Listy chowałyśmy o szarej godzinie za okna, między korytka od kwiatów na werandzie, lub w gałązkach bukszpanu, otaczającego klomb. Gwiazdor zawsze zabierał je szybko — aż podejrzanie szybko. Jednak na tym nie kończyła się sprawa z Gwiazdorem. Marzeniem naszego ośmioletniego życia było zobaczyć Gwiazdora. Na własne oczy. Żeby nie musieć polegać tylko na tym, co mówią starsi, którzy ciągle z nim mieli konszachty. W Wigilię nie przyszedł do nas ani razu. A to musiał przede wszystkim iść do tych dzieci, które nie mają rodziców, a to do tych, które są najbiedniejsze, albo których tatusiowie są na wojnie — zawsze coś sobie wynalazł i nie przyszedł. Zresztą nasz tatuś też w jedną Gwiazdkę był „na wojnie", bo nie dostał urlopu, a On mimo to się nie pokazał. Gniewało nas to i dziwiło. Bo czemu chociaż Gwiazdki nie przyśle, gdy ma ich tyle do pomocy. Ale chcąc być sprawied-

liwą muszę przyznać, że Gwiazdka raz przyszła; wprawdzie nie w Wigilię, ale przyszła.

Było tak. Rodzice wyjechali. Byłyśmy w domu same z panną Cecylią. Jana była chora. Jadła tylko kleiki, sucharki i kaszki. To znaczy miała jeść, ale nie jadła. Siedziała tylko na łóżku i beczała. Zapadł wczesny grudniowy zmrok. Do naszego pokoju weszła panna Cecylia z filiżanką kleiku i z tajemniczą miną.

— Słuchajcie, co wam powiem. Przechodziłam przez sień i usłyszałem pukanie do drzwi. Otwieram — a tu na progu stoi Gwiazdka. Kazała powiedzieć, że jak Jana nie będzie jadła kleiku, to do Bożego Narodzenia nie będzie zdrowa.

Byłam poprostu nieprzytomna z przejęcia. Nie było powodu nie wierzyć pannie Cecylii. Nigdy nas nie nabierała. Chciałam koniecznie Gwiazdkę zobaczyć, przecież musi być gdzieś w pobliżu. Co się nabiegałam na czworakach (żeby się Gwiazdka nie spłoszyła) w ciemnych pokojach od okna do okna — nic nie zobaczyłam. Panna Cecylia twierdziła, że nie mogłam jej zobaczyć, bo zaraz znikła, poprostu rozpłynęła się. Do samego wieczora zanudzałam pannę Cecylię o szczegóły wyglądu Gwiazdki. To, że miała skrzydełka i błękitną szatę nie zadowoliło mnie. Wiadomo— wszystkie Gwiazdki tak się ubierają. Najwięcej zaniepokoiło mnie jedno — panna Cecylia nie widziała, żeby Gwiazdka miała ręce. Jakto? Jakby mogła spuszczać się z niebo po błękitnej wstążce? Jakby mogła pomagać Gwiazdorowi w roznoszeniu podarków? Po długich debatach doszłyśmy do wniosku, że Gwiazdka musiała mieć ręce, ale schowała je w fałdach sukni, bo jej pewno było zimno. I dlatego panna Cecylia ich nie widziała.

Oprócz tego jednego razu ani Gwiazdor, ani Gwiazdka nie pokazali się u nas, chociaż tak bardzo pragnęłyśmy ich zobaczyć, chociaż o szarej godzinie czatowałyśmy za firanką, lub wybiegałyśmy znienacka na werandę. Nawet w Wigilię nie udało nam się ani razu. Choinkę przynosił Gwiazdor zawsze tak wcześnie, że gdy schodziłyśmy na śniadanie silny zapach żywiczny i porzucona w sieni na kamiennych flizach świerkowa gałązka objaśniały nas, że już jest po wszystkim. Biegłyśmy prosto do drzwi buduarku, choć wiedziałyśmy, że są zamknięte, ale musiałyśmy przecież namacalnie stwierdzić, że to już, że to tajemnicze, które otacza nas od tygodni, zaczyna się krystalizować tam za tymi drzwiami.

W ciągu całego dnia nadsłuchiwałyśmy, kiedy Gwiazdor przyjdzie ubierać choinkę i rozkładać prezenty, ale nie słyszałyśmy nigdy nic. Robił to strasznie cicho. Raz przesiedziałyśmy całe popołudnie przy oknie, z którego było widać najbliższy lasek. Byłyśmy tak pewne, że do tego właśnie lasku spuści się na błękitnej wstążce Gwiazdka. Ale był już czas ubierać się do willi, a my nic nie zobaczyłyśmy. Innym znów razem przed samą willą pobiegłam pod drzwi buduarku i zawołałam w dziurkę od klucza:

— Nie bój się, moja laleczko, że tam tak ciemno. Ja już niedługo do ciebie przyjdę.

Zapytana skąd ta pewność, że dostanę lalkę, odpowiedziałam z przekonaniem:

—Przecież pisałam do Gwiazdora, że proszę o lalkę, to mi też napewno przyniósł.

No — i lalka była.

Wigilia — to były tortury. Nie mogłam się cieszyć, nie mogłam jeść, tylko musiałam się bać. O ten „głupi" wiersz, który będę musiała „wyklepać" pod choinką. I odmawiałam po cichu „Zdrowaśki", żeby się tylko nie zająknąć. Gdy po willi ojciec wychodził z jadalni, serce waliło jak młotem. A nuż tym razem Gwiazdor przyjdzie i przy nim będzie trzeba deklamować... Rozlegał się dzwonek i mama prowadziła nas do buduarku. Gwiazdor, jak zwykle nie miał czasu i nie przyszedł. Więc prędko recytowałyśmy wiersze i rzucałyśmy się do prezentów. Nie było wiadomo czym cieszyć się najpierw, co oglądać: choinkę, podarki, czy szopkę.

Szopka była śliczna: drewniana, ze słomianym dachem, na którym lśniła złota gwiazda. Wewnątrz na sianem pokrytej podłodze wokoło świętej Rodziny skupiali się Trzej Królowie, (jeden z wielbłądem!), pasterze z owieczkami, wół i osioł. Z tą szopką łączyło się przykre dla mnie wspomnienie. Kiedyś—mama grała w salonie kolędy — przemeblowałam całą szopkę, a potem wzięłam duży biały grzebień i zaczęłam czesać całe towarzystwo. Wszystko byłoby dobrze, ale gdy czesałam najmłodszego pastuszka, klęczącego skromnie na szarym końcu, grzebień zapalił się od świeczki przylepionej u wejścia do szopki. Rzuciłam go na ziemię i narobiłam krzyku. Przybiegli rodzice i ogień zagaszono. Ale czarna plama na brązowym linoleum przypominała mi zawsze mój niefortunny wyczyn.

Gdy świeczki na choince pogasły i kolędy umilkły przynoszono herbatę, pierniki, jabłka i bakalie. Myśmy jadły, mama łupała orzechy dla wszystkich, a ojciec czytał bajki z nowych książek. Wieczorem, gdy zasypiałyśmy, obok w kołyskach leżały nowe lalki (stare musiały ustąpić i tłoczyć się w wózkach), a na stole ułożone były wszystkie prezenty i od nich to zaczynał się dzień w pierwsze święto.

Tak bywało zawsze.

Aż jedna Gwiazdka przyniosła zmianę i zamęt w naszych pojęciach. Gdy na głos dzwonka weszłyśmy do buduarku, pod chinką stał... Gwiazdor, w kożuchu, wysokiej czapie, z olbrzymią śnieżną brodą. Moja najmłodsza siostrzyczka Marychna (miała wtedy półtora roku) podniosła wielki bek na ręku niani. Ale my z Janą, cośmy już z niejednego pieca chleb jadały, poznałyśmy od razu pod siwą brodą i czerwonym przyprawionym nosem wesołą twarz panny Kazi, krawcowej. Więc bęcnąwszy na kolana prędko trzepałyśmy „Ojcze nasz" dusząc się ze śmiechu, a w czasie przemowy Gwiazdora całkiem bezczelnie ciągnęłyśmy go za futro i zerkały na rozłożone pod drzewkiem prezenty. Potem poszłyśmy z Gwiazdorem do kuchni i pomagałyśmy mu bić służbę. Było bardzo wesoło. Ale nazajutrz przyszły refleksje, poczułyśmy niesmak i było nam czegoś żal. Podświadomie czułyśmy, że nasz stary, kochany Gwiazdor został sprofanowany. A poza tym straciłyśmy w tej materii zaufanie do starszych. Chcieli nas oszukać!

I następnego roku, gdy nadeszła pora pisania listów do Gwiazdora, nie zwierzałyśmy się z tym do nikogo. W wielkiej tajemnicy napisałyśmy listy, w tajemnicy schowałyśmy je w ogrodzie daleko od domu. Jana w dziupli starego kasztana, ja między splątanymi gałęziami leszczynowego krzaku. Leżały tam dwa tygodnie — i nic. Poczta niebieska nie funkcjonowała. Rozczarowane przyniosłyśmy je do domu i położyłyśmy gdzieś na widoku. Można zrezygnować z uzyskania kontaktu z Gwiazdorem, ale nie rezygnuje się tak łatwo z prezentów. Zaczęłyśmy się jednak odnosić bardzo sceptycznie do wszystkich wypowiedzi starszych na temat Gwiazdorów i Gwiazdek. A już wszelkie groźby na temat „Czekaj, bo Gwiazdor zobaczy", nie robiły już na nas najmniejszego wrażenia.

Od owej pamiętnej Gwiazdki co roku był w robocie Gwiazdor w osobie stangreta lub ogrodowego. Głównie dla Marychny. Była skończoną „niejadką", a poza tym nieraz w ciągu dnia trzeba jej było zmieniać majteczki. I te gwiazdory miały coś na to pomóc. Ona bała się bardzo i z płaczem jąkała na klęczkach „Aniele Stróżu"... a my z politowaniem i pobłażliwie patrzałyśmy, jak się starsi bawią. Bo „to" nie miało przecież nic wspólnego z prawdziwym Gwiazdorem.

Najgorsza jednak rzecz — to dopuścić zwątpienie do serca. Nasza wiara w Gwiazdora i Gwiazdkę została poważnie zachwiana. Coś z tą sprawą było wyraźnie nie w porządku. Wreszcie raz przycisnęłyśmy mamę do muru. Żeby nam raz wreszcie powiedziała uczciwie, czy naprawdę są Gwiazdory, czy ich nie ma. Ale „na świętą prawdę". (To było jeszcze większe zaklęcie, niż słowo honoru). I mama powiedziała, że Gwiazdorów nie ma. Byłam zrozpaczona: przecież tylko dlatego pytałam, że tak bardzo chciałam być utwierdzona w tej dziecinnej wierze, a tymczasem teraz... teraz już poprostu nie wypadało wierzyć dalej. To było pewno moje pierwsze rozczarowanie. Z prawdziwym żalem żegnałam dziecinne złudzenie. Nie wiedziałam jeszcze wtedy — niemądry brzdąc — że niejedno takie złudzenie trzeba pożegnać w życiu.

Halina Szrantówna

Dom w którym jest dużo światła

Sierociniec w Równem

W słońcem wyzłocony październikowy ranek jedziemy do Sierocińca. Obchodzi dziś, w święto Chrystusa-Króla, pięciolecie swego istnienia, a my śpieszymy na mszę św., którą odprawi ks. kanonik Syrewicz w małej, ładnie urządzonej kapliczce zakładowej.

Ot i Cegielnia — przedmieście Równego. Wąska droga wije się między małymi, w ziemię wrastającymi chałupami; jeszcze jeden zakręt — i widać już Sierociniec. Jest inny, inny niż całe przedmieście — to rzuca się nam w oczy. I nie w tym, że nowocześnie zbudowany, że na uboczu położony, że większy — tkwi istota jego odrębności. To jest dom, w którym jest dużo światła. Wrażenie to odczuwam już z daleka i nie opuszcza mnie ono przez cały czas bytności w Sierocińcu.

Dojeżdżamy. Gromadka dzieci czyściutko i ładnie ubranych: chłopcy w popielatych ubrankach z czerwonymi kokardami, dziewczynki w sukienkach w kratę (jak dowiedziałam się później, własnoręcznie uszytych), wita nas przed wejściem: „Dzień dobry paniom!" Jest ciepło, więc dzieci spacerują poważne jakieś i uroczyste; tylko buzie im się śmieją i oczy błyszczą. Są dumne z Sierocińca i z siebie, bo przecież z ich to przyczyny samochody i powozy zajeżdżają; jest pan pułkownik, jest i pan starosta, a tamten pan — to prezydent miasta — i pan major, bo ma jedną gwiazdkę i dwa paski — i tylu panów cywilnych i panie ładnie ubrane, a one nic nie są onieśmielone. Kłaniają się gościom i tak im miło pospacerować w słońcu przed gmachem, do którego wszyscy przyjeżdżają, a który jest ich domem. Ale czas wejść, zaraz zacznie się msza św.

Mała kapliczka i szeroki korytarz zapełnia się przedstawicielami władzy i społeczeństwa. Ks. kanonik wychodzi ze mszą św. I znowu jest jakoś inaczej. Nie słychać organów, nie gubi się wzrok w malowidłach i złoceniach, ołtarz jest tak blisko, że chyba i Pan Bóg bliżej być musi. Dzieci śpiewają. Kończy się msza — jest kazanie.

Tak, to prawda, że nawet człowiek nieuleczalnie chory może być użyteczny społeczeństwu, podczas gdy moralnie chory jest tylko ciężarem. I to prawda, że z bezdomnych dzieci najczęściej wyrastają wyrzutki społeczeństwa, bo czyż tymi wyrzutkami nie są od pierwszej chwili, od tej, w której przygarnęła je ulica, a nie zainteresował się nikt ze społeczeństwa? A dziecko jest jak roślina: wymaga ciepła, opieki, pielęgnowania. Więc, by mniej było więzień, trzeba więcej sierocińców, trzeba wszystkim bezdomnym, opuszczonym dzieciom zapewnić opiekę — to leży w interesie samego społeczeństwa. Przecież z tych dzieci mogą wyrosnąć dzielni, pożyteczni, wartościowi ludzie.

Z tych to pobudek zrodziła się myśl budowy Sierocińca w Równem.

Ale teraz — to co mówi ksiądz kanonik nie chce mi się pomieścić w głowie. Bo jakże: sześć lat temu w święto Chrystusa-Króla poświęcił kamień węgielny pod budowę Sierocińca. Rozpoczynał ją nie mając żadnych zasobów, a w rok później poświęcał gmach, zbudowany kosztem 60.000 zł. Nie, nie rozumiem. Sześć lat temu — to rok 1931 — początek kryzysu. Pamiętamy wszyscy, jak ciężko było, zanim przyzwyczaił się do niego człowiek, jak ograniczał się każdy i końca z końcem związać nie umiał. I w tym ciężkim okresie ks. kanonik odważył się rozpocząć budowę Sierocińca, a co najdziwniejsze w rok go wybudował. Po ludzku sądząc, dokonał rzeczy niemożliwej. To Chrystus-Król, któremu Sierociniec jest poświęcony, zaopiekował się nim i sprawił, że w społeczeństwie obudziło się głębokie zrozumienie jego potrzeby, że słowa ks. Syrewicza natrafiały na dobry grunt i przyniosły owoce. Pieniądze płynęły. Zjawiały się w porę, w chwili, gdy najbardziej były potrzebne i stamtąd, skąd ich nie oczekiwano. Ot w któryś piątek, gdy nie było ani grosza na sobotnią wypłatę dla robotników, przyszła do księdza znajoma pani w jakimś interesie. Widząc przygnębienie księdza, zapytała o powód. I następnego dnia przyniosła 350 zł, które złożyli na budowę Sierocińca oficerowie i podoficerowie garnizonu równieńskiego. Na apel księdza odpowiedziało całe społeczeństwo. Czyż to nie widomy znak opieki Bożej? Tylko trzeba wierzyć, trzeba ufać, trzeba zupełnie zdać się na wolę Bożą.

I dzisiaj pięć lat mija od chwili gdy Sierociniec ożył. Tym oto przedstawicielom społeczeństwa dziękuje ksiądz za serce, jakie okazali, za to, że dali bezdomnym dzieciom dach nad głową, że im stworzyli rodzinę.

Po mszy św. w przedszkolu odbywa się akademia ku czci Chrystusa-Króla, a po niej występy wychowanków. Twarzyczki dzieci z ufnością patrzą w twarze starszych. Śpiewają dla nich, tańczą, deklamują; uczyły się z zapałem, aby uprzyjemnić pobyt w Sierocińcu tym, którzy przyjadą; aby ich jak najlepiej zabawić. Udaje im się to w zupełności.

Zwiedzamy Sierociniec. Nie tylko jasno w nim, ale i ciepło. Promieniuje ono z małej kapliczki zakładowej, rozsiane jest w dużej, jasnej, wesołej sali przedszkola, odczuwa się je w szwalni, i w pokoju kierowniczki, wszędzie, wszędzie. A sypialnie! Są prześliczne, istne cacka! I tak porządnie w nich, czyściutko, tak jasno! Sypialnia chłopców utrzymana w kolorze niebieskim, dziewczynek — w różowym. Ładnie w nich, tylko może zimno, mnie osobiście. Przypomina mi się sypialnia klasztoru, w którym wychowywałam się i gdzie po każdych wakacjach co wieczór popłakiwałam cichutko z tęskonty za domem, za rodzicami. Ale te dzieci nie mają rodziców, tutaj, właśnie tu znalazły dom i ciepło, którego każdemu trzeba, więc one zasypiają szczęśliwe, że im dobrze, ciepło, wygodnie, podczas gdy za oknami sroży się jesienna szaruga.

Serduszka dzieci biją wdzięcznością. Dobrzy ludzie dali im dom, dbają o nie. Dzieci wiedzą, kto o nich myśli, nawet te małe, z przedszkola, wiedzą, że to panie z Rodziny Wojskowej opiekują się nimi: umieszczony na ścianie napis mówi to tym, które czytać umieją. A w ks. Syrewicza wpatrują się z nabożeństwem. To jego niezmordowanej, wytężonej pracy zawdzięczają wszystko. I nawet mu podziękować nie można! Słyszały, jak jeden z panów, wiceprezydent miasta, dziękował księdzu. Ksiądz zaraz powiedział, że to nie jego zasługa, a przecież wszyscy wie-

...ą! Ksiądz mówił, że to oni dawali pieniądze, ale kto dawał pracę, kto martwił się i kłopotał, kto dziś jeszcze o wszystkim myśli? O, dzieci dobrze wiedzą! Nie mówią nic, bo co mają mówić; patrzą tylko, patrzą — i cały gmach pełen jest światła od wdzierającego się przez szerokie okna październikowego słońca — i jasnych oczu dzieci, które znalazły dom.

A. Urbanowska

Nowe książki

Jerzy Marlicz „Bezdroża" — Wyd. Ks. Atlas Lwów — Warszawa 1938.

Ukazała się nareszcie w wydaniu książkowym druga część „Ośmiornicy". „Bezdroża" są bodajże jeszcze lepsze od części pierwszej. Spotykamy starych znajomych z polskiej kolonii na Syberii. Jest Teresa Rzecka, Natasza Visconti, stary prokurator Drewicz i Kerstenowie. Cała powieść — to dramatyczna jazda do Polski, to dnie, tygodnie, miesiące spędzone w „tiepłuszce", życie różne zupełnie od tego, które nazywamy normalnym, z dnia na dzień, w ciągłej niepewności, w ciągłym niebezpieczeństwie i z tęsknotą do kraju w sercu. Na plan pierwszy powieści wysuwa się tragiczna wdowa po Viscontim — Natasza. Bezradne, apatyczne dziecko, czekające ciągle na cud, na zjawienie się męża. To oczekiwanie Nataszy udziela się i czytelnikowi. Pamiętamy przecież z „Ośmiornicy" o tragicznej śmierci Viscontiego, pamiętamy również i o tym, że był on szpiegiem i mordercą, a przecież łudzimy się ciągle, że może się coś wyjaśni, że może to było tylko jakieś nieporozumienie, bo człowiek, który był tak kochany, nie mógł być zły i nie mógł zginąć.

I jakoś robi się lżej, gdy Natasza dowieduje się o śmierci męża. Już wie — i my już napewno wiemy. Biedne, bezbronne dziecko. Nie dziwimy się, gdy Aki Kersten rzuca dzielną, zaradną Teresę Rzecką, która świetnie da sobie radę w życiu, dla której w ogóle małżeństwo z Akim byłoby grubym nieporozumieniem. Czujemy — że to właśnie Aki musi zaopiekować się Nataszą.

Nie wpadam bynajmniej w szablon, twierdząc, że „Bezdroża' 'czyta się jednym tchem. Tak jest w istocie. I egzotyczne tło i nerwowa, szybko zmieniająca się akcja i doskonale zarysowane sylwetki ludzkie i tragizm czasów i wypadków. Przyjemnie jest zauważyć, że z szarego tła miernoty wybija się coraz żywiej niepowszedni talent pani (właśnie!) Jerzego Marlicza. Książka świetna, barwna, pasjonująca!

S. K.

C. E. Scoggins. DOM CIEMNOŚCI. Czerwone Książki M. Arcta, 284 strony. Tłumaczyła J. Sujkowska. Barwna obwoluta S. Norblina. Wydawnictwo M. Arcta, Warszawa, 1937. Cena w brosz. zł 5.— w opr. zł 7.—

Powieść w rodzaju Dom Ciemności porywają czytelnika jak bajka, za którą przepadają wszyscy chociaż się nie wszyscy do tego przyznają.

Czy początki prastarej kultury półdzikiego ludu Mayów były takie, jak się one przedstawiają podróżnikom, czy są to tylko domysły, mniejsza o to. Prawdopodobieństwo jest duże, szczegóły oparte na poważnych badaniach, dość, że bajka jest pasjonująca, a ludzie zajmujący i czytelnikowi w miarę czytania coraz bliżsi. Nie jest to, ściśle biorąc, książka dla młodzieży, ale w każdym razie dla ludzi, w których amatorstwo przygód jest wciąż żywe, a dla których piękna baśń jest pożądanym wytchnieniem po szarzyźnie codziennego życia.

A. W.

ADAM BUR

PAN z ANTYKWARNI

POWIEŚĆ — ODCINEK 23

— Jaki on może mieć w tym interes?— zastanawiał się.

W ponure rozmyślania wpadł nagle dzwonek telefoniczny.

— Dyrektor Kodzior wzywa pana do siebie — płynął po drucie głos Niuty.

— Znowu Kodzior? Czego on ode mnie chce? — irytował się Krzysztof.

— A skądże mogę o tym wiedzieć?— rzuciła ze złością.

Głos Niuty brzmiał inaczej niż zazwyczaj. Był ostry i nieprzyjemny.

— Co jej się stało? — pomyślał Krzysztof, odkładając słuchawkę.

Ale zaraz przypomniał sobie.

Ortwan... No tak, to zupełnie zrozumiałe. Pewnie biedaczka bardzo cierpi nad losem przyjaciela.

— Biedny Paweł — westchnął, postanawiając skorzystać z otrzymanego pozwolenia na widzenie i dzisiaj jeszcze udać się do więzienia.

Schował papiery do szuflady. Nie lubił wychodzić z gabinetu, nie upewniwszy się najpierw, że nic nie zostawił na biurku. „Strzeżonego Pan Bóg strzeże" mówiła Jadwiga, dobra, kochana dziewczyna, która okazała mu tyle serca i przyjaźni w ciągu ostatnich dni...

Idąc korytarzem spotkał Niutę, która skinęła mu obojętnie głową.

— Panno Niuto! — zawołał.

Ale wzruszyła ramionami i jeszcze prędzej pobiegła korytarzem, w kierunku szatni.

Więc Krzysztof wszedł do gabinetu Kodziora i zastał zwierzchnika, przechadzającego się po pokoju energicznym, sprężystym krokiem.

— Proszę, niech pan siada — rzekł uprzejmie w odpowiedzi na sztywny ukłon Krzysztofa. — Chciałbym z panem porozmawiać. Kiedy nareszcie odda pan projekt silnika na warsztaty?

— Znowu — pomyślał z nienawiścią Krzysztof i spojrzał ostro na Kodziora. — Za kilka dni — powiedział zimno.

— Dopiero za kilka dni? — powtórzył Kodzior.

— Jeszcze mamy bardzo wiele czasu do wiosennych zawodów — odparł niegrzecznie Krzysztof.

— Ale znacznie mniej czasu dzieli nas od powrotu naczelnego dyrektora — Niuta miała słuszność, twierdząc, że Kodzior potrafi być czarujący, o ile tylko zechce. — Otrzymałem depeszę, że generał Baszyński wraca dzisiaj wieczorem do Warszawy. Wolałbym, to znaczy wolelibyśmy chyba obydwaj, żeby plany były nie tylko gotowe, ale znajdowały się już na warsztacie...

Krzysztof nic nie odpowiedział.

— Przyznam się, że niezbyt rozumiem czemu pan inżynier tak zwleka z wykończeniem planów — ciągnął dalej Kodzior, nie przerywając przechadzki. — Chyba pozostały panu jakieś notatki, rysunki...

— A gdyby nawet? — przerwał Krzysztof — to i tak wymagają uporządkowania i bardzo natężonej pracy. Zresztą o ile gen. Baszyński dzisiaj wraca, porobię w nocy odpowiednie dodatki i jutro wręczę mu gotowe plany, bo wątpię czy przed jutrzejszym dniem naczelny dyrektor przyjdzie do fabryki.

— Pan się myli, panie inżynierze. Generała Baszyńskiego oczekuję... oczekujemy jeszcze dzisiaj. Zaalarmowany wiadomością o włamaniu, nie będzie zwlekał z przybyciem do biura. Zresztą pojadę po niego sam na dworzec i przywiozę wprost do fabryki. Żałuję więc bardzo, że odrazu nie będziemy mu mogli pokazać planów.

— I ja żałuję — ironia brzmiała w głosie Krzysztofa.

— Chciałbym tylko wiedzieć jakie dodatki zamierza pan uczynić na planach— dodał po chwili Kodzior, zdając się nie słyszeć ironii w słowach inżyniera.

Krzysztof spojrzał z niechęcią na Kodziora i zaciął stanowczo usta.

— Prosiłem w tej sprawie o wolną rękę...

Kodzior pochylił głowę.

— Ha! Trudno panie inżynierze. Nie będę nalegał. Chociaż...

Podszedł do biurka i gwałtownym ruchem nacisnął guzik.

— Panna Czerwacka—rzucił do wchodzącego woźnego.

— Panna Czerwacka już wyszła.

— Co takiego? Bez opowiedzenia się?— ryknął na cały głos Kodzior. — Proszę do niej zatelefonować, żeby natychmiast przyszła. Na - tych - miast...

Woźny wyszedł z gabinetu, ale niebawem wrócił, oznajmiając, że panna Czerwacka wyjechała przed kilkoma minutami. Wówczas Kodzior, nie słuchając dalszych słów woźnego, nakręcił tarczę i głosem, nieznoszącym sprzeciwu, wezwał do telefonu właścicielkę pensjonatu, w którym mieszkała Niuta.

— Tak jest, panie dyrektorze, panna Czerwacka wyjechała — objaśniała flegmatycznie właścicielka pensjonatu.—Nie. Rzeczy nie wzięła. Zabrała ze sobą tylko mały neseser. Powiedziała, że otrzymała ważną depeszę... Nie wiem dokąd pojechała..

Kodzior rzucił ze złością słuchawkę na widełki i zaraz ogarnął go istny szał. Telefonował do Hordy, do Bayskiego, do Jadwigi, do rozmaitych osób, których inżynier nie znał. Krzysztof z bijącym sercem słuchał tumultu telefonicznego i jakiś wielki strach ściskał go zimnymi szponami za serce.

Co miał znaczyć nagły wyjazd Niuty? Czemu Kodzior przejął się do tego stopnia dziwacznym trochę postępkiem urzędniczki? Ostatecznie może rzeczywiście Niuta otrzymała depeszę od ciotki z Wiednia i musiała zaraz wyjechać?

Niuta... Irena... Ortwan... pan Artur... i ten Kodzior... Co łączyło, co rozdzielało te wszystkie osoby? Kto był ofiarą, a kto przestępcą?

Ortwan... A może pokutuje za niepopełnione winy?

Przypomniał sobie nagle, że ma być dzisiaj w więzieniu i wymknął się z gabinetu Kodziora w chwili, gdy drugimi drzwiami wpadał zadyszany Horda.

Jadąc taksówką do więzienia śledczego, obawiał się, że może przyjedzie za późno i nie pozwolą mu się zobaczyć z Pawłem. A byłby wówczas niepocieszony.

To też odetchnął z ulgą, gdy dowiedział się, że może jeszcze dzisiaj zobaczyć się z więźniem.

Gdy po załatwieniu wszelkich formalności ujrzał wreszcie przez podwójną kratę zmizerowaną twarz Ortwana, pomimo całej pogardy, jaką czuł dla jego postępku, serce ścisnęło mu się współczuciem.

— No co, jak tam? Może ci czego trzeba? — spytał niezręcznie.

— Mnie już niedługo wogóle nic nie będzie potrzebne — odparł Ortwan zachrypniętym głosem.

—Jak możesz tak mówić! Całe życie jest jeszcze przed tobą! Może cię uniewinnią? Może to wszystko okaże się fatalną pomyłką? Ja cię nigdy nie opuszczę...

— Krzysztofie...

— Tak jest Pawle. Okazywałeś mi zawsze tyle serca i przyjaźni, że byłbym ostatnim szubrawcem, gdybym się teraz od ciebie odwrócił!

Mizerną, bladą twarz więźnia wykrzywił smutny uśmiech.

— Okazywałem ci dużo serca, twierdzisz? Ja tobie? A komu zawdzięczasz wyrzucenie z fabryki? A kto pod tobą kopał w biurze dołki., oczerniał cię przed gen. Baszyńskim? Kto wreszcie pragnął stać się sławnym twoim kosztem?

— Pawle...

— Tak jest — Ortwan mówił cichym, monotonnym głosem i na jego chudej, nieogolonej twarzy wykwitły ceglaste wypieki. — To wszystko masz do zawdzięczenia mnie, człowiekowi, którego uważałeś za twojego przyjaciela!

(D. c. n.)

Ping-pong

II.

Niedawno pisząc o ping-pongu wyliczyłam przybory potrzebne do gry, obecnie przystąpię do omówienia przepisów.

Zaczniemy od sposobu trzymania rakietki. Można ją trzymać tak, jak rakietę tenisową — a więc za samą rączkę, lub też za rączkę, ale u nasady, tak, że palec wskazujący opiera się już na tarczy rakietki. Ten drugi sposób jest częściej używany i kto wie, czy nie lepszy. Grę rozpoczyna serwis czyli podanie piłki na stronę przeciwnika. Piłka przy serwisie musi być uderzona w ten sposób, aby najpierw upadła na stronę podającego, a dopiero po tym z odbicia przeszła nad siatką na stronę przeciwnika i upadła na jego pole. Jeżeli piłka nie przejdzie przez siatkę—jest zła, tak samo jest zła jeżeli nad siatką przejdzie, ale z drugiej strony upadnie poza stołem. Jeżeli przy przechodzeniu nad siatką zawadzi o nią (t. zw. „net"), to trzeba ją jeszcze raz powtórzyć. Dla łatwiejszej orientacji przyjmijmy, że pani X i pani Y rozgrywają mecz ping-pongowy. Ustaliły przez losowanie, że pierwsza będzie serwować p. X. Stoją obie o krok od stołu, jest to bowiem pozycja najdogodniejsza, i p. X uderza płasko piłkę, która odbija się o jej plac, przelatuje nad siatką i upada na stronę p. Y.

P. Y z kolei przerzuca piłkę na stronę przeciwniczki, starając się ją „plasować" to znaczy posłać w takie miejsce, w którym p. X jej się nie spodziewa i z którego odbić ją będzie trudno. Ale p. X ma szybką orientację, nie tylko, że odbiła piłkę, ale ją także „podcięła", to znaczy specjalnym uderzeniem nadała jej ruch wirowy dookoła osi. Piłka „podcięta" przeleciała nad siatką, ale uderzywszy o stół odbiła się zupełnie krzywo. P. Y zamachnęła się rakietką, ale w piłkę nie trafiła. W ten sposób p. X zdobyła pierwszy punkt. P. X serwuje w dalszym ciągu. Szczęście jej sprzyja, bo piłka serwisowa wychodzi bardzo szybka i długa, a pada na sam róg stołu przeciwniczki. P. Y stała zbyt blisko, nie zdążyła się cofnąć i straciła następny punkt.

P. X znów serwuje, ale tym razem pierwsza piłka przy przelocie zawadza o siatkę. P. X powtarza serwis, piłka jednak idzie za nisko i grzęźnie w siatce. Punkt stracony. Rezultat: p. X prowadzi 2 : 1.

Serwuje nadal, obawiając się jednak aby piłka znów nie została w siatce, uderza ją zanadto z góry. Piłka rzeczywiście przechodzi nad siatką dużym i wysokim łukiem i również wysokim łukiem (kąt odbicia = kątowi padania) odskakuje na placu p. Y, która korzysta z tego i uderza ją szybko i silnie z góry. Piłka w błyskawicznym tempie powraca na stronę p. X, która napróżno usiłuje ją odbić. Każda pani ma teraz 2 punkty. P. X serwuje ostatni raz. Serwis wychodzi dobrze ale p. Y odbija piłkę. P. X znów ją przerzuca do swej przeciwniczki, ale za lekko, tak, że piłka musnąwszy siatkę (w grze „nety" nie liczą się), spada tuż za nią. Mimo to p. Y udaje się przerzucić piłkę z pierwszego „kozła" (odbicia) na drugą stronę. Panie się rozegrały, piłka wędruje jeszcze kilkakrotnie na obie strony, aż wreszcie p. Y poniesiona temperamentem zamiast poczekać aż piłka uderzy o jej plac, odbija ją z powietrza nad stołem i w ten sposób traci punkt. Stan gry: 3 : 2 dla p. X. Pani X serwowała już 5 razy, z kolei serwuje p. Y.

W tym miejscu porzucimy obie sympatyczne zawodniczki, gdyż opis przebiegu całego ich meczu zająłby zbyt wiele miejsca, dla ułatwienia jednak będziemy się nimi jako „symbolami" w dalszym ciągu posługiwać.

Kiedy p. X zdobywa punkty? Wtedy gdy: 1) przy serwisie p. Y nie przerzuci piłki przez siatkę, 2) przerzuci piłkę przez siatkę ale zbyt daleko, a więc poza plac przeciwniczki („out"), 3) weźmie piłkę z powietrza zanim dotknie ona jej placu (oczywiście tylko nad stołem, gdyż piłka wzięta z powietrza wyraźnie poza stołem liczy się jako „out"), 4) dotknie w grze piłki rakietą, ale jej na drugą stronę nie przerzuci, 5) nie odbije w ogóle piłki, która upadła na jej plac, 6) uderzy piłkę dopiero po odbiciu z drugiego „kozła". Naturalnie, że gdy te błędy robi p. X, to punkty zyskuje p. Y. Zdobywa się grę czyli seta mając 21 punktów, przy czym po pięciokrotnym serwowaniu serwis za każdym razem przechodzi na stronę przeciwną. Seta można jednak zdobyć tylko różnicą najmniej 2 punktów, jeśli więc wynik brzmi np. 21 : 20, to gra się dopóty, dopóki jedna ze stron nie będzie miała o 2

punkty więcej, w tym wypadku zmienia się też serwis za każdą piłką. Mecz będzie rozegrany dopiero wtedy, jeśli rezultat będzie np. 22 : 20, 27 : 25 lub 25 : 23.

Ale jeden set nie stanowi jeszcze o wygraniu całego meczu. Przeciwniczki zmieniają tylko miejsca i grają następnego. W poważniejszych turniejach grywa się nawet 5 setowe mecze, gdyż dopiero zdobycie 3 jest uważane za wygraną.

2	3
1	4

Do niedawna często jeszcze liczono w Polsce przy ping-pongu tak jak w tenisie, a więc 15, 30, 40 gem i t. d. Obecnie zarzucono już ten sposób. Jeśli jednak ktoś nie ma zamiaru startować w turniejach, a zna metodę liczenia tenisowego, może ją doskonale do ping-ponga zastosować. Różnica będzie tylko ta, że mecz będzie trwał znacznie dłużej.

Gra pojedyncza którą stoczyły między sobą panie X i Y była możliwa nawet niekoniecznie na przepisowym stole, ale także i na innym tylko rozmiarami do przepisowego zbliżonym. Gra podwójna wymaga już stołu odpowiedniego, specjalnie szerokiego i przedzielonego linią przez środek.

Gra podwójna polega głównie na zgraniu się z tego względu, że jedna osoba nie może odbić piłki dwa razy z rzędu. Posłużmy się znowu pp. X i Y które zaprosiły jeszcze do grania pana Z i pana R. Pani X stoi na miejscu 1 (patrz rysunek), obok niej p. Z na miejscu 2. Na przeciwko mają p. Y (3) i p. R (4). Pani X serwuje, ale piłka nie tylko musi przejść nad siatką i upaść na drugiej stronie stołu, ale musi upaść koniecznie na plac 3. Jeżeli upadnie na 4, to państwo XZ tracą punkt. Pani Y przerzuca piłkę, ale p. X nie może jej odbić po raz drugi, cofa się więc, a piłkę odbija p. Z. Teraz kolej na pana R. Dopiero po nim p. X musi odbić piłkę. Tak więc partnerzy muszą odbijać na zmianę, a jeśli by który uczynił to dwa razy, to traci punkt. Poza tym p. X nie serwuje ciągle z tego samego miejsca. Po rozegraniu piłki zmienia się ze swym partnerem i serwuje z placu 2 na 4, a więc do p. R, aby potem znów wrócić na swoje miejsce i t. d. Oczywiście zmienia się tylko strona serwująca, odbierająca pozostaje bez zmiany. Liczy się tak samo jak w grze pojedyńczej. Cyfry na schemacie stołu zaznaczyłam tylko dla łatwiejszej orientacji. Naprawdę ich się nie rysuje. Najważniejsze jest przy grze podwójnej to, aby partnerowi nie przeszkadzać. Momentalnie po odbiciu piłki usunąć się w tył, by zostawić mu dosyć miejsca. Gra podwójna jest może trudniejsza od pojedyńczej, ale bezwątpienia bardziej atrakcyjna.

Wogóle ping-pong jest grą przyjemną i można się do niego niesłychanie zapalić. Jak już wspominałam w poprzednim artykule ma on również walory sportowe, wyrabia zręczność, elastyczność ruchów, szybką reakcję, a zbieranie piłeczek, może trochę uciążliwe, jest jednak doskonałą gimnastyką. Radzę wszystkim bez różnicy płci i wieku zainteresować się tą grą, a napewno nie pożałują. Bardzo szczegółowo omawia ping-ponga R. Jodłowski, w książeczce zatytułowanej „Ping-Pong", Biblioteczka Sportowa Nr 29, wyd. Głównej Księgarni Wojskowej w Warszawie, cena 1 zł 20 gr.

Janina Kałyńska

„Wesele" w Stołecznym Teatrze Powszechnym

Z okazji 30-tej rocznicy śmierci St. Wyspiańskiego Stoł. Teatr Powszechny wystawił „Wesele".

Wystawienie „Wesela" było ciekawą, ale i ryzykowną próbą. Jak przyjmie mało wyrobiona, dość prymitywna publiczność sztukę pełną subtelnych aluzyj politycznych i społecznych? Sztukę tym więcej niezrozumiałą, że mało aktualną (zagrał już Złoty Róg, a z krzaku róży opadła słomiana wiecha niemocy i bierności narodowej).

A jednak przemówił czar słowa Wyspiańskiego — trafił do serc.

Świadczy o tym wielkie powodzenie „Wesela" (3.000 osób w ciągu tygodnia) oraz poważny nastrój i skupienie, z jakim ci ludzie prości wsłuchują się w słowa, padające ze sceny.

Cisza, która panuje podczas przedstawienia jest tym godniejsza uwagi, że warunki, w jakich odbywają się widowiska, są ciężkie: szkolne sale duszne i ciasne; widzowie rozmaici wiekiem: najwięcej dzieci — to najwierniejsza publiczność Teatru, ale dużo i osób starszych, nierzadko trafi się matka z maleństwem na ręku.

Ten poważny stosunek do sztuki, to zasługa St. Teatru Powszechnego, który w ciągu lat 3-ch krzewił kulturę teatralną na przedmieściach Warszawy. Potrafił on zmienić prymitywną, dzięki nieomal publiczność teatralną w kulturalną, pełną zaufania do swego Teatru widownię.

Powodzenie „Wesela" przypisać należy ponadto doskonałej reżyserii dyr. Poredy oraz dobrej interpretacji aktorskiej (Zelwerowiczówna, Ippoldtówna, E. Poreda, Związek, Żukowski).

Gościnne występy Rotterowej w roli Radczyni i Dominiaka, jako Czepca czynią z „Wesela" widowisko stojące na wysokim poziomie artystycznym, mogącym zadowolić największe wymagania oraz przyciągnąć także publiczność, znającą lepiej teatr i rozumiejącą grę artystów.



Akt II, scena 3. Isia i Chochoł.

Buźka na karnawał

Zbliżają się święta w ślad za nimi karnawał — okres wieczorków i zabaw. Łączy się z tym cała masa kłopotów, zwłaszcza dla Pań, które strudzone pracą zawodową, nie mają poprostu czasu pomyśleć o swoim wyglądzie, a przecież każda chciałaby specjalnie w tym okresie ładnie wyglądać. W skrytości ducha zdaje sobie sprawę z tego, że najpiękniejsza suknia, ślicznie uczesana główka nie tylko nie są w stanie zmienić zmęczonego wyglądu twarzy, ale bardzo często przez kontrast, uwypuklają jeszcze te niedokładności. Szara zwiędła cera, pogłębiające się zmarszczki, worki pod oczyma, a co najważniejsze — zgasłe i bez wyrazu spojrzenie — mogą rzeczywiście wyprowadzić z równowagi najbardziej zrezygnowaną kobietę.

Pisząc ten artykuł, widzę już buźki miłych czytelniczek, a nawet słyszę szept pobladłych usteczek: Pracuje człowiek przez cały rok, a gdy się zbliża okres świąteczny, odbiega go chęć do wszelkiej zabawy. Kobieta istota przedziwna, potrafi być tylko wtedy wesoła, jeżeli jest pewna swej broni — uroku młodości i piękna, jaki może rozsiewać wśród otoczenia. Nie lubi zwłaszcza po trzydziestce, jeżeli witają ją okrzykiem: „Ach, jak się pani zmieniła!" Budzi to w niej odruchowo jakieś lękliwe pytanie: „Czy rzeczywiście zaczynam się starzeć?" Wślad za tym przychodzi rezygnacja i niechęć do życia.

Po ukończeniu porządków i zakupów świątecznych, postarajmy się poświęcić wyłącznie swej twarzy ze dwie godziny czasu na dokładne jej oczyszczenie. Najlepiej będzie zrobić to w jakimś zakładzie kosmetycznym, gdzie wykwalifikowane siły dokonają tego sprawnie, nie pozostawiając absolutnie żadnych śladów. Dobrych zakładów kosmetycznych mamy już dziś dość dużo, a koszt takiego zabiegu nie przekracza możliwości nawet źle sytuowanych pań. Po oczyszczeniu — racjonalnie wykonany kilku-minutowy masaż ożywi i zaróżowi twarz, odpowiednia maseczka wygładzi i utrwali działanie masażu. Jak pod dotknięciem różdżki czarodziejskiej zniknie wyraz zmęczenia — nastąpi przeobrażenie, któremu trudno dać wiarę. Pozostaje jeszcze zręcznej kosmetyczce wyregulowanie brwi stosownie do typu urody i przyciemnienie rzęs, a wówczas i oczy zatracą ślady wszelkiego zmęczenia i nabiorą właściwego wyrazu. Lekki maquillage mający za zadanie uwypuklenie uzyskanego naturalnego piękna i stuszowanie drobnych niedokładności cery — kończy zabieg oczyszczania twarzy.

Maquillage w zasadzie winien być wykonany tylko na skórze czystej i wypoczętej, nie ma bowiem nic bardziej odrażającego, jak przykrywanie twarzy brudnej, tłustej, pokrytej plamami, pryszczami i wągrami. Na twarzy nieoczyszczonej maquillage tworzy ohydną maskę, spod której przezierają wszystkie te niedokładności, jakie właśnie chcieliśmy ukryć, a całość robi wrażenie niechlujstwa i brudu. Budzi to zawsze tylko niesmak i drażni zmysł estetyczny. Pogarsza tu jeszcze sytuację dobór jaskrawych, a często taniutkich i szkodliwych szminek. Szminki w kolorze winny być możliwie zbliżone do naturalnych barw naszej cery i winny harmonizować z całością postaci, nie stanowiąc rażących kontrastów. Natomiast gatunek szminek zawsze powinien być najwyższy, gdyż nieoględna oszczędność w tym wypadku mści się fatalnie, narażając później na wydatki, związane z naprawianiem tych szkód, jakie nam szkodliwe, tanie szminki wyrządziły.

Właśnie taki maquillage każda z pań przy odrobinie smaku powinna umieć zrobić sama, zaciągnąwszy tylko uprzednio fachowej porady, jakie środki będą najodpowiedniejsze dla niej. Natomiast zabieg oczyszczający — wypoczynkowy winien być zrobiony na kilka dni przed świętami, względnie wieczorkiem.

Piękne białe ręce lub jak z kości słoniowej rzeźbione paluszki — mają tylko te panie, które poświęcają codziennie kilka minut czasu na masaż i wcieranie udelikatniających płynów, na noc zaś odpowiednich kremów. Jeżeli jednak zaniedbałyśmy tych zabiegów, należy przynajmniej w ciągu tygodnia wcierać emulsję z mleka surowego z gliceryną i kilkoma kroplami wody kolońskiej w stosunku następującym: do szklanki mleka surowego dodać łyżkę gliceryny chemicznie czystej i 15 kropli wody kolońskiej 90%. Po każdym myciu rąk wetrzeć trochę tej emulsji i dokładnie osuszyć ręce. Po pewnym czasie ręce staną się gładkie i delikatne w dotyku.

Panie, których twarzyczki posiadają drobne niedokładności na skórze w postaci brodawek, pajączków i t. d. powinny poddać się na 10 dni przed świętami względnie wieczorkiem zabiegowi usunięcia tych defektów. Mogę zapewnić ze swej strony, że po zasięgnięciu rady lekarza dermatologa defekty te mogą być usunięte bezpowrotnie, a zabieg wykonany ręką specjalisty, nie zostawi żadnych znaków, ani blizn. Brodawki szpecą nawet najpiękniejszą twarz kobiecą — sądzę, że każda Pani jest tego samego zdania.

Cóż jednak mają począć te panie, które dla tych czy innych powodów nie mogą korzystać z zabiegów w zakładach kosmetycznych? I tu rada się znajdzie. Rozpoczynamy zabieg naturalnie od dokładnego oczyszczenia skóry, uwzględniając oczywiście jej gatunek. Skórę tłustą, połyskliwą oczyszczamy wodą ciepłą i otrąbkami na watce, przecierając twarz ruchami kolistemi, aby nie rozciągać skóry, poczym kładziemy 2 — 3 dobrze gorące kompresy z wody ze szczyptą boraksu. Po osuszeniu smarujemy białkiem utartym z kilkoma kroplami soku z cytryny, czy pomarańczy. Czekając cierpliwie, aż zaschnie, co musi nastąpić w ciągu 10—15 minut, zmywamy tamponikiem waty zwilżonym w ciepłej wodzie i osuszamy ręcznikiem. Jeżeli chodzi o nadanie skórze matowości i to na czas dłuższy, stosujemy proszek porcelanowy rozrobiony zwykłą wodą. Po zaschnięciu, to jest po chwili — przecieramy twarz miękką materią. Cera nabiera zdrowego wyglądu, pory są ściągnięte. Efekt ten można osiągnąć przy minimalnych kosztach. Natomiast stanowczo odradzam paniom posiadającym tłustą cerę używanie pod puder kremu, gdyż po kilku godzinach, a czasem i wcześniej skóra zaczyna błyszczeć, a wślad zatym uwidoczniają się i pory.

Skórę suchą należy oczyścić kawałkiem chleba żytniego namoczonego w ciepłym mleku. Chleb po namoczeniu przeistoczy się w mięciutką plastyczną masę, która doskonale usuwa brud, a ruch kolisty pocierania, który przy tym stosujemy, ożywi krążenie krwi, co wpłynie dodatnio na kolor cery. Po osuszeniu twarzy należy posmarować ją żółtkiem utartym z 1 łyżeczką surowej śmietanki. Po zaschnięciu, to jest po 10 — 15 minutach zmyć serwetką zmoczoną w ciepłej, miękkiej, przegotowanej wodzie. Na noc i pod puder należy koniecznie stosować krem odżywczy.

Jak więc widzimy na wszystkie dolegliwości można znaleźć radę.

HELENA BRZEZIŃSKA
Kierowniczka Działu Kosmetycznego w Instytucie Kosmetyczno - Lekarskim „IZIS" — w Warszawie.

Zimowe bajki - mikołajki

Dnia 8 grudnia w południe wesoło było w sali teatru Wielkiego. Ze wszystkich stron płynęły masy naszych milusińskich, aby się zabawić na Zimowych Bajkach — Mikołajkach, pióra pani Aliny Kwiecińskiej, w reżyserii i inscenizacji pana Henryka Małkowskiego.

Konferansjerkę prowadził p. Wasiel, który nas zaznajomił z krasnoludkami i razem z nimi wprowadził w świat baśni.

A więc znaleźliśmy się w kuchni u króla Grudnia, gdzie panował wielki gwałt, gdyż kucharz miał upiec na rozkaz króla wielki i wspaniały tort, na przyjęcie Św. Mikołaja, który zmęczony długą drogą i ciężkim worem pełnym zabawek, tutaj miał odpocząć.

Żwawo zabrały się kuchciki do roboty, pod okiem groźnego pana kucharza, lecz nie obyło się bez różnych tragi-komicznych przygód, nim wreszcie tort został zrobiony.

W drugiej części widzimy, jak Św. Mikołaj obdarował kuchcików choinką i różnymi pięknymi prezentami, lecz niestety o jednym kuchciku, zapomniał zacny staruszek. Zrozpaczony był mały Filipek, Św. Mikołaj chcąc mu to wynagrodzić, obiecuje spełnić każde życzenie, dowiaduje się, że Filipek marzy aby spadł śnieg, a więc Św. Mikołaj wysyła go do Królowej Zimy, gdyż tylko od niej to zależy.

W trzeciej części jesteśmy u Królowej Zimy, którą widzimy, jak wjeżdża na saniach, ciągnionych przez dwa wielkie niedźwiedzie. Dobra Królowa pozwala przejechać się tymi saniami Filipkowi, a następnie odważniejszym dzieciom z widowni. Królowa otoczona jest swą świtą, a więc widać tu: mróz, wiatr, deszcz i słońce. Wysłuchała ona prośby małego Filipka i zsyła na ziemię upragnione śnieżki.

Całość wypadła bardzo miło i ładnie, grana głównie przez młodocianych aktorów, którzy bardzo dobrze wywiązali się ze swego zadania, czasami tylko niezbyt równo wypadał śpiew, no ale to było pierwsze przedstawienie, więc wierzyć trzeba, że dalej będzie lepiej. Za to tańce wypadły bardzo ładnie, a już wprost rozczulający był maleńki motylek

Szkoda tylko, że Św. Mikołaj w apelu do dzieci bogatszych, aby one obdarowywały dzieci biedniejsze, zapomniał o swej roli dobrotliwego staruszka i na całą salę grzmiał, aby zgaszono światła i nie rozdawano jeszcze baloników. Dzieci zgoła nie z tej strony znają Św. Mikołaja.

W czasie przedstawienia obdarzono małych gości, uprzejmie udzielonymi przez firmę Wedel, cukierkami i balonikami. Milusińscy opuszczali, teatr zachwyceni, roześmiani i szczęśliwi, a o to zapewnie chodziło utalentowanej autorce, reżyserowi, artystom, no i... rodzicom.

Mój budżet

D o Pań. dr C. Z. z Nr 45 i M. S. z Nr 48

Szanowne Panie!

Pisząc o swoim budżecie, nie myślałam, że będę przedmiotem rozważań — i to od strony „rozwodu". I dla tego chcę na ten temat napisać, że na marginesie budżetów Pań uwagi o „Pani Ewie" brzmią tak, jakby rozwódka była skazana na wieczną tęsknotę, upokorzenia itd. Otóż Pani dr C. Z. pisze: „Szkoda tylko, że pod pozorem takiego słonecznego nastroju kryje się nieraz żal, ból, tęsknota, upokorzenie i ciche łzy". Otóż protestuję! Zechce mi Pani wierzyć, że ani chwili nie czułam się upokorzoną, nigdy nie żałuję tego co przeszło, nie tęsknię za niczym, a ciche łzy zostały w moim panieńskim pokoiku, który opuściłam przed 10 laty. Poza tym, w tym, że mąż mój spotkał kobietę, która mu bardziej odpowiadała niż ja, nie widzę dla siebie nic upokorzającego, tym bardziej, że nie byłam ani okłamywana, ani oszukiwana. Nie kryję, że ogarnęła mnie rozpacz na myśl o tym, czy dam sobie radę z dwojgiem malutkich dzieci. Ale widzi Pani, należę do ludzi twardych i ambitnych: nie dałam się. Za 250 zł miesięcznie nie zbyt łatwo przy warszawskich cenach utrzymać się z dwojgiem dzieci i kupować wszystko od A do Z, od rondli do mebli — i to jednak zwyciężyłam. Przypomniałam sobie, że można zarabiać tłumaczeniami (znam języki: rosyjski, ukraiński, czeski, francuski, włoski, rumuński i niemiecki). Przez znajomych zaczęłam dostawać tłumaczenia z początku bardzo marnie płatne, potem coraz lepiej. Obecnie pracuję dla jednego z ministerstw, nabrałam rutyny i „tempa", obecnie ostatni rekord, 240-stronicowa książka niemiecka, pełna bardzo trudnych technicznych wyrazów, 2 tygodnie wraz z przepisaniem do druku; dostałam za tę pracę około 140 złotych. Mogę Panią zapewnić, że od czasu rozwodu nigdy nie czuję się upokorzoną, nie wylewam „cichych łez", a przeciwnie, nabrałam pewności siebie i poczucia własnej wartości. Mam w tej chwili 28 lat i dwoje dzieci na utrzymaniu i mimo to aż trzech „starających się". Jednym z nich jest mój dawny mąż, który mimo, że dostał upragniony rozwód i nic nie stało na przeszkodzie wielkiemu szczęściu, nie ożenił się i „stwierdziwszy", że „tamto" było omyłką, zaczyna składać coraz częstsze wizyty. Łączę pozdrowienia

Ewa.

Chciałabym jeszcze odpowiedzieć Pani M. S. z Nr 48. Otóż zgadła Pani! Mam „wymarzone futro" i oszczędności na „czarną godzinę" i dwoje dzieci, na które „pozwoliłam sobie" jeszcze „jako mężatka", ponadto mam ładne meble (politurowana sosna i niebieski samodział) własnego pomysłu, wykonane przez tut. stolarza; mam wzorową kuchnię, którą moje znajome nazywają „laboratorium zdrowia", radio wspaniałe za 400 zł itd. Za dwa lata twierdzę stanowczo, że będę miała auto, a najdalej za 5 zacznę budować własną willę, której plany i wymiary mam już narysowane (leżą w biurku), mam jeszcze 4 skarby, którymi chętnie z Panią się podzielę. Są to: zmysł humoru, radość życia, siła woli i szczęście do ludzi. A najważniejsze: trzeba umieć chcieć!

Opowiem Pani historię jednych 400 zł. Było to przed rokiem, starałam się o jakąkolwiek pracę, w mieszkaniu pustki, dzieci bez ciepłych rzeczy, w perspektywie święta, jednym słowem: rozpacz. Nagle dowiaduję się przez 11 usta, że w pewnej instytucji poszukują kogoś, ktoby przetłumaczył pewną książkę. Łapię taksówkę, jadę, o rozpaczy! są już dwie osoby: jakiś młodzieniec i urocza blondynka. — „No, przepadłam" — myślę. Proszą nas do dyrektora. Książka, a raczej skrypt, około 400 stron przetłumaczyć, przepisać w jak najkrótszym czasie.

— Ile czasu potrzebuje pani na tę pracę? Blondynka się namyśla, przegląda rękopis, wreszcie odpowiada:

— Co najmniej miesiąc.

— A pan? — zwraca się do drugiego towarzysza „niedoli".

— Ja to zrobię w trzy tygodnie — odpowiada młodzieniec.

Robi mi się gorąco. „Zginęłam" — myślę, nawet nie zwrócił się do mnie.

— No to pan to weźmie, chyba że pani — niewyraźny gest w moją stronę.

— Ja przetłumaczę w 15 dni! — wypowiedziałam jednym tchem i zamarłam z przerażenia. — Boże, co ja wygaduję! — pomyślałam. Ale już było za późno, trzeba było brnąć dalej. Umówiłam się, że dostarczę tłumaczenie przepisane na maszynie na dzień 3 grudnia i dostanę 400 zł gotówką; sprawa ważna, pilna itd. Wychodziłam na pół przytomna, przytłoczona własną „bezczelnością", konwulsyjnie przyciskając rękopis. Jadąc do domu obliczyłam, że muszę tłumaczyć po 40 stronic „na dobę", zważając jednak na to, że nie mogłam opuścić ani zredukować swych zajęć domowych, praca odbywała się przeważnie po nocach, dość że przez 6 ostatnich nocy spałam po dwie godziny, wypiłam wtedy całe morze czarnej kawy — i na 3-go grudnia byłam gotowa, oddając o godz. 1.30 p. dyrektorowi pracę. Nigdy nie zapomnę błogiej chwili, kiedy po różnych formalnościach, otrzymałam te 400 złotych. Spałam potem 18 godzin jak zabita.

Widzi Pani i mnie nie układa się życie z samych róż. Dziś już nie drżę, czy dostanę pracę i w wypadkach pilnych przysyłają po mnie auto, abym „nie fatygowała się"; jestem „rutynowana". Myślę, że i Pani nie powinna rozpaczać, może i Pani w swym mieście znajdzie jakiś sposób zarobkowania. Na przykład znam Panią, która dobrze zarabia kosmetyką, robi masaże, maquillage, preparuje pudry, kremy itd., druga znajoma zarabia nieźle stołowaniem, jeszcze inna robi kwiaty z rhodoidu i celofanu — jedno jest pewne: nigdy samo się nie zrobi, losowi trzeba dopomóc. Ja bym na Pani miejscu zdecydowała się na dziecko, ale przedtem trzeba choć trochę zarabiać, a przede wszystkim precz z rezygnacją i goryczą! Źli to doradcy. Marzeniom trzeba dopomóc, trzeba je pchnąć na realne tory, wtedy zrealizują się. Wie Pani Jogowie Hinduscy, jako receptę na powodzenie dają taki środek: „zrana, gdy tylko otworzysz oczy, uśmiechnij się, a potem powiedz trzy razy „powodzi mi się coraz lepiej" — może to i śmieszne, ale na dnie ukrywa się głęboka prawda, że człowiek sam może przyciągać powodzenia lub — odwrotnie.

Moja córeczka, kiedy kładzie się spać, mówi do mnie:

— Ewuniu! o czym teraz marzymy?

A ja jej odpowiadam:

— O aucie i białym domku.

— A kiedy ty kupisz auto i biały dom, to o czym będziemy myślały?

Moja mała nigdy nie wątpi w realizację marzeń i to mi dodaje bodźca: nie chcę jej zawieść.

Kończąc zasyłam Pani wiele serdecznych pozdrowień i życzę zrealizowania się wszystkich marzeń, zacząwszy od córeczki à la mała Shirley Temple, kończąc na futrze (to nie złośliwość).

Sama kiedyś o tym gorąco marzyłam.

Ewa.

Nasza skrzynka

Nasza skrzynko!

Do sprawy poruszonej przez panią M. Ł., jako stała czytelniczka i ja dorzucę słów parę. Sprawa, którą Sz. Pani poruszyła, jest naprawdę bardzo aktualna i że się tak wyrażę: „piekąca". Nie wiem, w których stronach na kresach Sz. Pani mieszka, jednak zwyczaje przyjęte przez pracownice domowe są widocznie wszędzie na Kresach jednakowe. Chciałabym już dawno poruszyć tę kwestię, jednak myślałam, że przejdzie to bez echa.

Moim zdaniem, to dla tych wiejskich pracownic powinny miejscowe władze, jak Starostwo lub gminy opracować jakieś przepisy, przekroczenie których pociągałoby za sobą wysokie kary pieniężne lub kryminał. Bo naprawdę zdarza się to na porządku dziennym porzucanie obowiązku bez wypowiedzenia uprzedniego lub na dwa tygodnie przed żniwami żąda się albo wysokiej podwyżki płacy, lub grozi się porzuceniem obowiązku, co miało miejsce u mnie. Człowiek zdany na łaskę takiej „donny", musi się zgodzić na podwyżkę, gdyż w czasie najgorętszych robót jest absurdem dostać służącą.

Ja obecnie zagroziłam utratą jednomiesięcznej pensji za porzucenie bez wypowiedzenia, ale w razie zastosowania tej „recepty" władze będą ścigać nie winną, a chlebodawcę. Do dalszego omówienia.

Do Naszej Skrzynki.

Na propozycję Pani M. Ł. podaną w Nr 49 **Praktycznej Pani**, zabieram głos.

Mieszkając na Polesiu, znam dobrze tragedię domową z tytułu „pomocnic".

Tak zwane „pomocnice domowe" rekrutują się z ludności biednej i ciemnej. Na służbę idą do żydów za 3—5 zł miesięcznie, jako „popychadło". Dobrego się nie nauczy: zrobi byle jak, z żydami wykłóci się i siądzie z nimi za pan brat przy jednym stole itp.

O dodatkowych świadczeniach na rzecz „pomocnicy", jak ubezpieczenie i inne, nie ma mowy; byle taniej.

„Popychadło" takie po pewnym czasie staje się „miastową". Pomimo, że nie umie gotować, prać i sprzątać żąda 10—12 zł i do chrześcijan idzie niechętnie, w obawie przed akuratnością i niemożnością otrzymania wychodnego późnym wieczorem.

W takich warunkach bez współudziału władz „świadectwa służby" nie dadzą się wprowadzić, gdyż chcąc służbie wystawiać świadectwa, trzeba i samemu być w porządku.

Dyskusja potrzebna nadal.

Z poważaniem

C. Wacława z Polesia.

Kochana Skrzyneczko!

Czytając zawsze z wielkim zainteresowaniem „Naszą skrzynkę", już drugie ogłoszenie znajduję, w którym Panie chcą przyjąć, a nawet adoptować dziecko, ale skromny warunek, jako dodatek do dziecka 2.000 zł.

Kochane Panie! Czy nie zdajecie sobie sprawy, że ten ktoś, t. zn. Matka, posiadając te 2.000 zł, nie będzie chciała rozstać się z dzieckiem. Bo przecież dziecko jest jak gdyby maleńką cząstką Matki, więc wyobraźmy sobie jak trudno każdej Matce wyrzec się dziecka. A zresztą po co zabierać dziecku to, czego mu nikt inny nie zastąpi, t. j. Matkę. Zresztą przypuśćmy, że dziecko ma obecnie 5 lat, mamy dla niego 2.000 zł, złóżmy je do PKO, a kiedy dorośnie, t. zn. dojdzie do pełnoletności, niech je podejmie. Proszę wyliczyć, ile wtedy podejmie. Mam wrażenie, że nie o wiele mniej, niż wartość domu z ogrodem, który dopiero w przyszłości może odziedziczyć, pytam, w jakim stanie?

To też czytając takie ogłoszenia uważam że tu chodzi nieco o własne i osobiste korzyści. Kto chce dać macierzyńską opiekę jakiemuś maleństwu, ten powinien szukać tam, gdzie setki, a nawet tysiące rączek wyciąga się po tę macierzyńską opiekę. Tam, gdzie z wielką tęsknotą oczekują na przyjście „kochanej mamusi". A gdzie jest to miejsce, nie potrzebuję chyba pisać.

Przesyłam serdeczne pozdrowienia.

Bośka z Podlasia.

„Dziesięciominutówka"

IV.

1. Kilka podskoków obunóż w miejscu, potem w przód, w tył, w prawo i w lewo.



fig. 2

2. Stanąć w rozkroku. Nie wyginając się w lędźwiach opaść w przód swobodnie, i nie podnosząc tułowia skręt w lewo z zamachem rąk. To samo w prawo. Cały czas patrzeć się za rękami. Wykonać 6 — 8 skrętów w każdą stronę.



fig. 3

3. Klęknąć. Jedną nogę wysunąć w bok, oprzeć na wewnętrznej krawędzi stopy. 10 skłonów do nogi wysuniętej, ręka ślizga się po udzie. Zmienić nogę i to samo 10 razy w drugą stronę.



fig. 4

4. Położyć się przodem. Ugiąć nogi, schwycić je za stopy. Wygiąć się jak najsilniej do tyłu, starając się najbardziej zbliżyć głowę do stóp. Powtórzyć 4 razy.



fig. 5

5. Podeprzeć się rękami i szybko przejść do klęku podpartego. Wolno unosić lewą nogę z jednoczesnym unoszeniem lewej ręki w przód. Powtórzyć 2 razy. Zmienić nogę i rękę.



fig. 6

6. Przejść do siadu płaskiego. Z zamachem obu rąk w pion, skłon w dół. Chwycić kostki, i nie uginając kolan, przyciągać tułów. Przećwiczyć 6 — 8 razy.



fig 7

7. Stanąć przodem do ściany w odległości jednego kroku. Oprzeć się mocno rękami i starać się odepchnąć od niej. Powtórzyć 6 razy.

8. Dwa podskoki niewysokie w miejscu, trzeci jak najwyższy. Powtórzyć kilka razy.

9. Spokojny marsz w miejscu.

Kącik dla dzieci

Jak słonko oddało babci pozdrowienie Tereni

BAJECZKA CZWARTA.

Tereńcia nie zawsze mieszkała na Saskiej Kępie. Gdy była zupełnie malutka, mieszkała w niewielkim mieście, daleko od Warszawy, wśród szerokich pól. Przed jej oknem rozciągała się łąka, za którą zachodziło słońce. Chodziła z Bogunią na tę łąkę, słuchała skowronków, które nad nią dzwoniły i zbierała kwiaty: złote jaskry, białe rumianki i liliowe dzwonki. Z tych kwiatów robiła bukiety i zanosiła swej babci, która mieszkała wraz z ciocią niedaleko w małym drewnianym domku. Tam dostawała drugie śniadanko i długo i wesoło się bawiła. Gdy nadchodziło Boże Narodzenie, imieniny Tereni, albo Wielkanoc, zastawała tam zawsze jakiś śliczny podarunek. Raz na przykład, Terenia ujrzała na wystawie w sklepie lalkę prawie tak wielką jak ona sama. Terenia długo na nią patrzyła i pomyślała w swym małym serduszku, że bardzo by pragnęła mieć ją na własność. Na drugi dzień przychodzi do babci — a tu ta sama lalka siedzi w fotelu, patrzy na nią i uśmiecha się. Możecie sobie wyobrazić jak się Terenia ucieszyła! Objęła laleczkę, ucałowała ją, nazwała Krzysią, dotąd ją ma i zawsze tak samo ją lubi. Innym razem zastała u babci kuchenkę ze wszystkimi garnkami, brytfannami, foremkami, stojącą na środku pokoju, a jeszcze innym razem były to wiaderka, łopatki, foremki do piasku itd. Słowem rozmaicie bywało, ale zawsze przyjemnie.

Po tym Terenia wyjechała do Warszawy, na Saską Kępę. Znowu przed oknami miała łąkę, na której rosły kwiaty i śpiewały skowronki, ale domku babci znaleźć nie mogła. W jej małej główince nie mieściło się, że domek babci pozostał daleko i że trzeba do niego jechać długie godziny pociągiem, w dusznym wagonie. Dreptała swymi drobnymi nóżkami we wszystkie strony i wypatrywała czy nie zobaczy małego, drewnianego domku z ganeczkiem.

Raz zawędrowała tak aż do Wisełki. Nigdy jej jeszcze z bliska nie widziała. Czasem, gdy jechała z mamą do Warszawy przez most, migała jej przez okna tramwaju szeroka wstęga wody, pomarszczona od wiatru, lub gładka w dniu pogodnym i nie mogła dobrze jej się przyjrzeć. Teraz stanęła na białym piasku, którym są usypane jej brzegi i patrzyła na rzekę, która tu z bliska wydała się jej jeszcze większą. Woda marszczyła się jak cieniutka sukienka Tereni i mieniła się niebiesko i zielono. Przeglądały się w niej chmurki płynące po niebie a słonko zapalało na niej srebrne ogniki; białe rybitwy rozrzuciwszy szeroko skrzydła unosiły się i opadały i podobne do nich żagle łódek płynęły gromadnie w dal.

— Wisełko, Wisełko, — rzekła Terenia — chcę dojść do domku swojej babci, a ty leżysz mi na drodze i nie puszczasz. Usuń się, proszę cię, bym mogła dojść tam gdzie chcę. Wisełka uśmiechnęła się do Tereni i srebrzyście zadzwoniła falą.



— Dziecko moje — odpowiedziała — chętnie bym cię puściła... lecz co się wtedy stanie z tymi łodziami, które po mnie płyną, z tratwami i ze statkiem, który tam z daleka nadchodzi. Pomyśl sama...

Terenia zamyśliła się i zamilkła. Zrozumiała, że Wisła nie może zatrzymać się, aby ją przepuścić. Posiedziała nad wodą, nacieszyła się ślicznym piaskiem, nakopała go pełne wiaderko i wróciła na łąkę. Patrzy, a tam Zunia i Magda siedzą na porościełanych kocach, mleczko z kubków piją i bułeczkę zajadają. Siadła obok nich i swoje śniadanko jeść zaczęła. Obok schowane w wysokiej trawie, było gniazdko skowronka. Małe skowronięta podniosły łebki i patrzą: co to za trzy jasne główki z poza trawy widać. Nawet zlękły się trochę. Ale mama skowronek uspokoiła je.

— Nie macie czego się bać, to są dzieci, ludzkie pisklęta. Grzeczne i miłe, nic wam złego nie zrobią. Nawet nie widzą was, bo nasze gniazdo tak dobrze jest ukryte! A tatuś skowronek zatrzepotał skrzydłami, wzniósł się do nieba i, podlatując coraz wyżej, dzwonił jak srebrny dzwoneczek, śpiewał a śpiewał. Terenia podniosła główkę i dojrzała go.

— Skowroneczku, skowroneczku, — rzekła — latasz tak wysoko! Czy nie widzisz stamtąd domku babci? Może ją pozdrowisz ode mnie?

— Nie Tereńciu — odrzekł skowronek — latam wysoko, ale za nisko by domek babci zobaczyć. Chciałbym ci usłużyć, pozdrowienie twoje babci oddać, a tobie przynieść pozdrowienie babci, ale nie dam rady, tak wysoko nie dolecę.

— Skowroneczku — rzekła Terenia — a przecie śpiewałeś nad łąką, tam gdzie babcia mieszka...

— Nie Tereńciu, to nie ja śpiewa...
tylko mój krewny...

— To może przez niego pozdrowienie prześlesz mojej babci?

— Chętnie Tereniu, tylko że nie prędko go zobaczę. Spotkamy się z nim lecąc do ciepłych krajów na zimę. Wtedy mu powiem, a on powtórzy to babci na wiosnę wróciwszy z ciepłych krajów do Polski.

Terenia podziękowała skowronkowi i zamyśliła się. Myślała, że to bardzo nieprędko będzie, nim to pozdrowienie do babci dojdzie. Wzięła więc śliczną pocztówkę, mamusia napisała na tej pocztówce to o co prosiła Terenia, Terenia nalepiła znaczek i rzuciła pocztówkę do skrzynki pocztowej. Babcia ją otrzymała i ucieszyła się bardzo. Kupiła jeszcze śliczniejszą pocztówkę i posłała ją Tereni. Terenia ...

miała dużo takich pocztówek z obrazkami i lubiła je bardzo, myślała tylko, że takie pozdrowienie dość długo idzie przez pocztę, a potem znowu trzeba czekać na odpowiedź. Ona zaś chciała, aby to pozdrowienie wprost od niej do babci poszło.

Jednego razu siedziała na łące jak zawsze, z Zunią i Magdą. Było ciemno, fruwały motylki, słońce świeciło. Wtem nadbiegł obłoczek i swawolnie zakrył słońcu twarz, na ziemi zrobiło się szaro. Ale obłoczek pofrunął dalej, słonko wyjrzało i ozłociło znowu wszystko. Terenia zadarła główkę i zmarszczyła śmiesznie nosek. Chciała zobaczyć jak wysoko jest słonko.

— Nie patrz Tereniu na słonko — rzekła Bogunia — bo oczy sobie popsujesz.

Wzięła kapelusz z szerokimi skrzydłami i włożyła go Tereni na główkę, uwiła z kwiatów wianek i na ten kapelusz nałożyła. A Terenia siedziała zamyślona, po czym raz jeszcze z pod kapelusza na słonko spojrzała.

— Słoneczko złote — rzekła — czy daleko z nieba widzisz?

— Bardzo, bardzo daleko widzę — odrzekło słonko i uśmiechnęło się. — Widzę cały świat, tam gdzie jest dzień. Nie widzę tylko tam, gdzie jest teraz noc. Lecz te kraje są tak daleko, że musiałabyś do nich chyba jaki tydzień albo więcej jechać.

— A czy widzisz domek babci?

— Doskonale widzę. Jest tam wprawdzie trochę chmur, ale przez szpary między nimi wyraźnie go dojrzeć mogę.

— A czy widzisz babcię?

— Widzę, owszem. Siedzi przy oknie za stołem i pisze.

— To pozdrów ją słoneczko ode mnie!— zawołała radośnie Terenia.

— Z przyjemnością Tereniu, z przyjemnością, natychmiast!

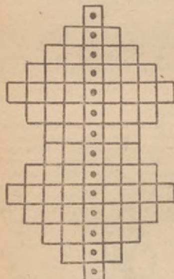
I słonko rozsunęło chmurki, zabłysło, uśmiechnęło się, oświeciło okno babci i oddało jej pozdrowienie Tereni. *Babcia.*

Grudniowy konkurs rozrywek umysłowych

(Warunki uczestnictwa ogłoszono w Nr 50 „Praktycznej Pani")

LOGOGRYF Nr 7

ul. p. *Janina Pągowska*, Mołodeczno



W pola powyższej figury wpisać poziomo wyrazy o podanym znaczeniu; pionowy środkowy rząd da rozwiązania.

Znaczenie wyrazów. 1. Spółgłoska. 2. Postać biblijna. 3. Pies myśliwski. 4. Wiatr północny. 5. Samorząd — inaczej. 6. Wylewanie wina na ofiarę bogom w starożytnym Rzymie. 7. Kraina w Alpach. 8. Ptak. 9. Tytuł młodzieńczego utworu Słowackiego. 10. Posiłek wieczorny. 11. Ruda żelaza. 12. Drogocenny naszyjnik. 13. Imię męskie. 14. Samogłoska.

SZARADA Nr 8

ułożyła p. *H. M.*, *Drohobycz*

Padł *siodmy-ósmy* księga zamknięta
W wieczności zginął już *ósmy* stary,
Dla młodzieniaszka droga wytknięta
Dla niego grają surmy, fanfary
O *Drugi-trzeci! czwór-piąty* Panie!
Pierwszy nam *ósmy* zdrowy, spokojny
Okaż nam, okaż Twe zmiłowanie,
Raz spokój, zgodę, plon chleba hojny.

Niechaj *wspak pierwszy* buntu i złości
Szesć-siódmy-ósmy zdusi, rozwieje
Ciernie wygładzi, życie uprości
Rany zagoi spełni nadzieje.
Trzecie jest dzisiaj źle i koszmarnie,
Niepewne jutro, każdy to przyzna
Drugie zło chodzi butnie, bezkarnie
Do czynów ofiar woła Ojczyzna
Pokłon niesiemy w szczerej pokorze
Boża Dziecino, w dniach Twojej chwały
Niech ścichną gromy, zaświecą zorze
Rzuć łask Swych zdroje bogaty *Cały*.

KRYPTOGRAM Nr 9

Z poniższych 9 wyrazów wybrać po trzy sąsiadujące litery, które utworzą znane przysłowie.

Poniewierka
Wszechświat
Modystka
Koziorożec
Błoto
Rococo
Przedsięwzięcie
Poświęcenie
Stulecie

UWAGA:

Powyższymi zadaniami zamykamy konkurs grudniowy. Termin nadsyłania rozwiązań upłynie 15 stycznia r. p. Wyniki ogłoszone będą w Nr 5/38 r., a w międzyczasie od Nr 2/38 r. począwszy, ukażą się zadania styczniowe. Rezultaty konkursu listopadowego ogłoszone będą w przyszłym tygodniu.

Odpowiedź p. „Karylli".

Dział rozrywek umysłowych otrzymuje bardzo wiele prac Sz. Pań Czytelniczek, które umieszcza w miarę możności, natomiast technicznie zbyt trudno byłoby odpowiadać każdej osobie nadsyłającej zadania i dlatego również Sz. Pani ostatnio odpowiedzi nie otrzymała. Wdzięczni jesteśmy za prace Sz. Pani i prosimy o łaskawe nadsyłanie dalszych, ukazywać się jednak będą mogły tylko te, które zostaną zakwalifikowane i to w odpowiedniej kolejności. Jeden z logogryfów układu Pani, ukazał się w Nr 50.

KUPON Nr 3 GRUDNIOWEGO KONKURSU ROZRYWEK UMYSŁOWYCH „PRAKTYCZNEJ PANI"



PRZEPISY KULINARNE

COMBER Z KRÓLIKA

Oczyszczonego królika rozdzielić, przeznaczając przodki do pasztetu albo na farsz, comber zaś naszpikować słoniną, natrzeć solą i ułożyć na gorącą blachę (brytfannę), na której leżą już zrumienione i wytopione plasterki słoniny. Piec, polewając ściekającym tłuszczem, około godziny. Kiedy pieczeń jest krucha i ładnie zrumieniona wlać w sos pół szklanki śmietany lub nawet kwaśnego mleka, wymieszać z sosem i dla nabrania smaku podusić jeszcze kilka minut. Królika wyjąć, porąbać na kawałki na 3 palce grube, ułożyć na półmisku. Do sosu wsypać nieco mąki ziemniaczanej dla zagęszczenia i kilka łyżek wody. Zagotować, oblać mięso. Kto lubi może do tego sosu dodać do smaku musztardy.

PASZTET

Przodek zajęczy lub z królika, serce i płuca, ½ kg wieprzowiny, ½ cielęciny, pokrajać w kawałki i obrumienić dobrze na maśle. Dodać 20 dk słoniny świeżej, 10 ziarn ang. ziela, tyleż pieprzu, listek bobkowy, podlać wody i dusić do miękkości. Kiedy mięso łatwo odchodzi od kości obsmażyć na prędce ½ kg cielęcej lub wieprzowej wątroby i zajęczą czy króliczą, włożyć do reszty i chwilę pogotować. Sosu nie powinno być dużo. Wybrać mięso, sos przecedzić, mięso zemleć kilkakrotnie w maszynce, dodać do niego 2 bułeczki czerstwe, pszenne, namoczone w sosie i również zmielone, wbić 3 jaja surowe, doskonale wymieszać i wlać tyle sosu, aby masa była na chłodno prawie tak gęsta, jak powinien być pasztet.

Rondelek wyłożyć cienko pokrajanymi paskami słoniny albo wysypać bułeczką po grutownym wysmarowaniu masłem. Przed ułożeniem do rondla pokosztować masy na sól, ew. dosolić, przypieprzyć. Pasztet powinien gęstością i smakiem być już taki jak później będzie. Napełniamy masą rondel wyłożony lub wysmarowany, lub budyniową formę, nakrywamy, wstawiamy w drugie naczynie z gotującą wodą i gotujemy „na parze" około godziny.

Nie napełniać formy zupełnie, bo w czasie gotowania pasztet podrasta.

WYKWINTNE TARTINKI

Usiekać obraną z kości i skórki kurę pieczoną, na szklankę mięsa dodać pół szklanki siekanych, obranych migdałów, oraz 6 łyżek dobrej śmietany, zaprawionej łyżeczką od kawy papryki. Dobrze wymieszać, smarować na bułeczkę powieczoną cienką warstwą masła. Na wierzch położyć dla ozdoby paski struganych migdałów, zamiast kury można użyć pieczeni cielęcej.

SOSY DO ZIMNYCH RYB, MIĘSA, PASZTETÓW, SAŁATY ZIEMNIACZANEJ I T. P.

SOS FASOLOWY

Rozgotowaną fasolę przetrzeć przez maszynkę i wymieszać doskonale z musztardą francuską i oliwą, biorąc oliwy łyżkę na szklankę masy fasolowej, a musztardy do smaku. Lekki ocet podprawić trochą soli i cukru i rozetrzeć nim masę tak, aby stanowiła umiarkowanej gęstości sos. W oszczędnym gospodarstwie może zastąpić majonez.

SOS CHRZANOWY

Z kwaśnych jabłek ugotować niezbyt gęstą marmoladę bez cukru. Ostudzić, dodać na szklankę marmolady 3 — 4 łyżki utartego chrzanu skropionego cytryną, żeby nie czerniał. Doprawić do smaku cukrem. Podawać do zimnego drobiu.

SOS FRANCUSKI

½ łyżeczki papryki łagodnego gatunku, szczyptę soli wymieszać dokładnie z 6 łyżkami octu czy cytrynowego soku. Dodać tartą cebulę lub 2 — 3 ząbki czosnku. Polewać sałaty.

SOS DŻENTELMEŃSKI

Trzy żółtka surowe, szklankę dobrej oliwy, szklankę galarety, sok z jednej cytryny, trochę soli zagrzewać na ogniu nie gotując, tylko starannie mieszając aż zgęstnieje. Następnie stawia się na lodzie czy śniegu i ubija trzepaczką do piany, aż się zrobi lekki i przyrośnie.

Galareta najlepsza będzie wygotowana z nóg cielęcych z włoszczyzną. W braku takiej weźmiemy zaprawioną octem lub kwaskiem cytrynowym wodę, zagotujemy z angielskim zielem, pieprzem, listkiem bobkowym, dodać trochę soli, cukru, scedzić z korzeni, włożyć 3 — 4 listki wymoczonej w wodzie żelatyny, zagrzać, rozpuścić. Sos ten bardzo zbliżony do majonezu może służyć do ubrania ryby, sałaty i t. p.

SAŁATA ŚWIĄTECZNA

Ugotowanej na miękko białej fasoli 3 szklanki, ugotowanego uszatkowanego selera 2 łyżki, uszatkowany kwaszony ogórek, uszatkowanego jabłka kwaszonego skropionego cytryną aby nie czerniało, 3 — 4 łyżki, skropić sosem francuskim, lekko przemieszać. Kilka jaj na twardo pokrająć na połówki, ułożyć na sałacie, na każdym jajku położyć plasterek marynowanego korniszonu lub grzybka.

PRZYBRANIE DO SAŁATY

Jeżeli chcemy sałatę ziemniaczaną czy majonez i t. p. ubrać, bierzemy 3 żółtka wyjęte zręcznie z jaj ugotowanych na twardo. Żółtka te stanowią środki rumianków, których płatki wyobrażone będą przez cienkie pasemka pokrajanych białek, nastrugane jak do chryzantemy. Dla powiększenia efektu tych trzech kwiatów podkładamy z boków listki wycięte w kwaszonym ogórku, w same zaś żółtka możemy ostrożnie wcisnąć na środek 3 ziarnka pieprzu.

KARMELKI ŚMIETANKOWE

dla p. K. P.

Szklankę kremowej śmietanki, 10 dk dobrego masła, zagotować z kawałkiem wanilii, dać postać pod pokrywą aż dobrze przejdzie zapachem. Wanilię wyjąć i dusić dalej powoli, dosypując cukru 40 dk. Trzeba starannie mieszać, aby nie przypalić. Najlepiej robić w ogniotrwałej, grubej kamiennej rynce. Należy przy tym uważać, aby się nie poparzyć, bo gęstniejąca masa pluje w oczy przy gotowaniu.

Czy masa gotowa, poznajemy gdy wpuszczona w wodę zimną stęże od razu. Należy bardzo uważać, żeby nie przesmażyć, bo stanie się twarda i niedobra. Mieszać trzeba starannie ucierając, gdyż inaczej będzie jak kasza.

Można także próbować w ten sposób czy są gotowe, że kładziemy małą łyżeczkę masy na talerzyk i ostudzamy, jeżeli wokoło masy ukaże się obrzeżenie płynu, to jeszcze należy podsmażyć.

KARMELKI ŚMIETANKOWE BEZ MASŁA

Równą ilość śmietanki i cukru smażyć powoli aż nabierze koloru jasno brązowego. Próbować, jak wyżej. Karmelki bez masła łatwiej robią się sypkie, zamiast ciągnące.

ORZESZKI W CUKRZE

Pół kg cukru-grysiku zalać 5 łyżkami wody i rozpuścić na ogniu, mieszając starannie dopóki nie zacznie wyraźnie żółknąć. Kiedy nabierze koloru miodu, wsypać orzechy cbłuskane, wymieszać, wylać na blachę, posmarowaną oliwą, a gdy zastygnie, łupać na kawałki. Można też każdy orzeszek ułożyć osobno.

PODWIECZOREK ŚWIĄTECZNY

(patrz str. 3)

Stół nakryty jest w sposób możliwy do wykonania w każdym domu. Na okrągłym półmisku układamy gałęzie sosny lub świerku promieniście, a na to stawiamy talerz z owocami i bakaliami. Talerze z makaronem stoją na gwiazdach ze srebrnego papieru.

Nasza skrzynka

Dział interesów

Potrzebna posługaczka umiejąca gotować na 2 godziny dziennie, względnie co drugi dzień. Poznańska 21 — 60, zastać do 10-ej rano.

Łaskawe Panie! proszę Was bardzo przyślijcie mi jakiś wzór bridżowy na stolik albo informację na robotę bridżową, a może która z Pań zrobi, może by nie drogo kosztowało, tobym sobie dała zrobić firanki, a sama bym robiła stolik.

Zgłoszenia do Redakcji dla *E. L. S.*

Młoda, religijna, solidna, pracowita, sumienna, łagodnego usposobienia, bardzo prosi o posadę.

Chętnie zajmie się dzieckiem, pracą w sklepie, lub do pomocy pani domu, zna dobrze krój i szycie. Wykona samodzielnie robotę sukien, bielizny wszelkiej oraz garderoby dziecinnej.

Zna gospodarstwo domowe (wiejskie lub w mieście). Wymagania bardzo skromne. Na żądanie może podać poważne referencje. Adres: H. Mańkowska, poczta Sędzin, Zakrzewo, powiat Nieszawski.

Która z chętnych i pragnących zarobić osób, chce się zająć sprzedażą pokupnego artykułu. Znajomość w hurtowniach i składach wódek pożądana, lecz niekonieczna. Adres mój w Redakcji, dla Walentyny.

Mam lat 20, panna z urzędniczej rodziny, szyję, haftuję, znam roboty ręczne, trykotarstwo, śpiewam, jestem zdrowa fizycznie i moralnie, łagodna, cicha — szukam posady: towarzyszki, lektorki, przy Paniach zdrowych lub chorych lub też zajęcia, któremu bym w miarę moich zdolności podołała. Miejscowość obojętna — warunki uposażenia według umowy. Listy proszę kierować do Redakcji dla „Eugenii z Podola".

Mam maturę gimn., ukończoną służbę wojsk. i początki pryw. studiów muzycznych, posiadam głos barytonowy, rokujący według znawców świetne widoki. Przyjmę jakąkolwiek posadę lub zajęcie na skromnych warunkach — pracowałem już jako pomocnik biurowy, szybko się orientuję. Zależy mi na mieście, gdziebym mógł dalej kształcić się w śpiewie. Łask. zgłoszenia proszę kierować do Redakcji dla „Barytona".

Może która z Pań zdrowa, energiczna, nie paląca papierosów, a lubiąca dzieci zechce wyjechać na wieś, na skromne warunki, do pomocy w gospodarstwie i przy dziecku (chłopak 3 lata, bardzo żywy). Chodzi mi o sobę skromną ale niepalącą, której mogłabym spokojnie powierzyć dom i dziecko w razie parodniowego wyjazdu.

Pożądana znajomość skromnej kuchni, chowu drobiu, świnek, naprawa bielizny, zapasy zimowe, albo chęć nauczenia się tego wszystkiego. Mam do pomocy 2 służące i „Praktyczną panią".

Zimą jesteśmy sami, ale latem mam letników. Kościół na miejscu.

Oferty proszę adresować: Poste-restante, Lubień k/Włocławka dla A. B. O.

Wdowa lat 30 poszukuje posady jako ekspedientka lub pokojowa, ładnie haftuje, pracowała przez kilka lat przy krawcu męskim. Każdą pracę ofiarowaną chętnie weźmie. Zgłoszenia proszę adresować: E. Rożniatowska. Podkowa Leśna Zachodnia, dom Kadzikiewicza.

Szanowne Panie. Uprzejmie proszę o łaskawe polecenie mi pomocnicy samodzielnej, uczciwej, inteligentniejszej do jednej osoby — dwa pokoiki. Pensja 20 — 25 zł miesięcznie. Załączam serdeczne pozdrowienia „Żoliborz".

Osoba lat 30-tu, umiejąca dobrze gotować, oszczędna i sumienna, znająca również szycie i różne roboty ręczne, poszukuje zajęcia do wyręczenia pani domu, zna język niemiecki, posadę może objąć od 1.I.38. Zofia Włodarczakowa, Lublin, skrzynka pocztowa 1.10.

Zakopane pensjonat, Willa Schodnica na Uboczu — położenie malownicze, bliskość terenów narciarskich, kuchnia wykwintna oraz jarska.

Maria Świacka

Odpowiedzi Redakcji

Dżok

Gdybyśmy mieli pełny adres, moglibyśmy poradę wysłać wcześniej niż w numerze. Z powodu wcześniejszego przygotowania materiału, trwa to znacznie dłużej. Psa warto by leczyć poważnie, bo się może zmarnować. Na razie trzeba by mu przepłukiwać ucho ostrożnie, przy pomocy gruszki gumowej, letnią wodą z kwasem bornym, a następnie wlać do ucha gliceryny z phenolem. Przygotują Pani w aptece. Flaszeczkę wstawić w ciepłą wodę, żeby nie wlać zimnego, dać 10 kropli w przechylone ucho, a następnie przechylić tak, aby nadmiar mógł wypłynąć. Jeżeli jednak sprawa jest zadawniona i nie poprawi się po zabiegu wyraźnie, trzeba koniecznie udać się do lekarza weterynarii.

P. Stałej Prenumeratorce.

I. Kapelusz filcowy sztywnieje zazwyczaj bardzo po zmoczeniu go. Oczywiście, trzeba go odpowiednio ufasonować. O ile ten zabieg nie wystarczy wziąć łyżkę mielonego siemienia lnianego, namoczyć na 15 minut. w litrze wody. Przefiltrować przez bibułę lub w kilkoro złożone płótno i wilgotny kapelusz w roztworze tym zamoczyć. Ufasonować na formie, papierze, gałganach itp. Po ususzeniu, wyszczotkować w kierunku włosa.

II. Posadzkę z mieszaniny drzewnej najlepiej zmywać tylko letnią wodą bez sody i pastować. Jeżeli to dla Pani zatrudno, to brać garść trocin, zwilżyć lnianym olejem, rozsypać i następnie zmiatać. Zbierze się kurz i nada trochę połysku. Suchym suknem można jeszcze przetrzeć.

III. Lustro przetarte samemu trudno naprawić. Jeśli wypadnie kupić wszystkie dodatki dla sporządzenia odpowiedniej pasty, to taniej wypadnie oddać do naprawy specjaliście. Podaję jednak receptę na mniejsze uszkodzenia:

Płyn I. Argenti nitrici 1 gram rozpuścić w 10 gramach wody destylowanej. Dolewać po kropli czystego amoniaku. Zrobi się brunatny osad, dolewać jeszcze po kropli dopóty aż się ten osad rozpuści, ale ani kropli więcej. Dopełnić tę ilość do 100 centymetrów objętości przez dodanie wody destylowanej. Ten płyn najlepiej zrobić w aptece.

Płyn II. Zmieszać 50 centimetrów wody destylowanej i 50 ctm spirytusu 90% i dodać 50 kropli termolu 40-procentowego.

Wyczyścić bardzo starannie miejsce uszkodzone.

Wziąć dwa kieliszki płynu I i jeden kieliszek płynu II i zmieszać to przed samym użyciem. Szybko wylać odrazu sporą ilość na miejsca wytarte, przez pochylanie lustrem płyn ten rozprowadzić, nie dotykając. Gdy zaschnie, spłukać wodą. Żeby posrebrzenie nie schodziło i nie było narażone na zdrapanie, pokrywa się je lakierem.

P. Wiernej Czytelniczce

I. Zezwolenia na zmianę nazwiska udziela Wojewoda (w Warszawie Komisarz Rządu), w wypadkach zasługujących na szczególne uwzględnienie. W podaniu należy wyłuszczyć powody żądania zmiany i wskazać nazwisko, jakie chcemy przybrać. Do podania załączyć metrykę chrztu oraz dowód obywatelstwa. Wojewoda zarządza ogłoszenia w pismach, przy czym osoby noszące wybrane nazwisko, mogą zgłosić sprzeciw. O dokonanej zmianie również czynione są ogłoszenia.

Koszty wynoszą łącznie ponad 200 zł, jednak Województwo może zwolnić z części lub całości. Np. ze względu na stan majątkowy.

Jeżeli nazwisko ma brzmienie hańbiące, ośmieszające itp. postępowanie trwa krócej i powoduje ulgi.

II. Ślub wziąć można jedynie z osobą prawnie rozwiedzioną. Zmiana wyznania ze strony Pani nie miałaby żadnego znaczenia.

Jeśli pierwsze małżeństwo katolika nie zostanie rozwiązane przez sąd duchowny katolicki to ślub, zawarty przez niego po przejściu na inne wyznanie, nie da Pani wszystkich praw cywilnych prawowitej małżonki.

III. Człowiek żonaty może uznać swoje dziecko nieślubne w akcie jego urodzenia i wówczas powinno mu być nadane nazwisko ojca.

Pani S. M. z Poznania

Szanowna Pani! Trudno nie widząc panienki, orzec na pewno co jej dolega, zwłaszcza, że nawet lekarze nie są co do tego zgodni. Niech Sz. Pani zwróci się lepiej do lekarza chorób dziecięcych, nie homeopaty, który dziecko dobrze zbada. Powinnaby właściwie, wobec tylu dolegliwości, polecić jakiś czas w szpitalu czy klinice i mieć stałą fachową pomoc. Radząc na niewidzianego, łatwiej zaszkodzić niż pomóc.

Sok z marchwi nie szkodzi na zabarwienie skóry.

Bakterie, o których Pani wspomina, nie są zaraźliwe. Kluski jeść może, jajek nie, miód zawsze, sok z cytryny, kwasek z grzybka także, ale octu nie dawać. Mleko w każdej formie jest zdrowe. Chleb czerstwy. Mleko kozie może także. Cierpienie wzroku towarzyszy często chorobom nerek. Wzrost jest bardzo względny. Dzieci w równym wieku bywają różnego wzrostu. Przepisy wkrótce podamy.

Serdecznie jednak radzimy oddać córeczkę w ręce poważnego lekarza, jest w tym wieku, że można ją wyleczyć, bo młodość to siła lecznicza, ale za dużo ma dolegliwości, żeby to można traktować po amatorsku. Nerki, płuca i wzrok.

Trzeba się do dziecka wziąć na serio.

Pani S. S. z Kapitulnej.

Wzór na obrus był w Nr 38, można go zmienić robiąc tylko szlak, wyciągając mereżkę tylko na szerokość jednego kwadratu. Broszurki wyd. „Bluszczu" są dla prenumeratorek po dawnej zniżonej cenie.

Podręcznika do nauki rysunku dla małych dzieci nie ma. W przedszkolu dziecko rysuje co chce a uczyć zaczyna się dopiero w szkole średniej.

„Gioni".

Wobec bardzo dużego zapasu wierszy z nadesłanych z żalem nie skorzystamy.

Paniom B. S. i Eugenii z Wołynia.

Przy poważniejszych i ostrych stanach chorobowych, jest ryzykowne stosowanie rad, udzielanych przez niekompetentnych. A lekarz bez badania lekarstwa przepisać nie może.

Pani E. H.

Wykroje koszul męskich znajdzie Pani w Nr Nr 9 i 15 naszego pisma, na tablicach.

Pani F. M.

Ponieważ poruszona przez Panią myśl w nadesłanym nam liście, mimo, że bardzo piękna, z technicznych względów wykonana przez nas być nie może, z żalem ale listu drukować nie będziemy.

„Cicha tragedia".

List Pani zawiera tak bardzo prywatne szczegóły, że ograniczamy się do naszej odpowiedzi i myślimy, że skoro Pani ma już teraz tyle przykrości a i obawa o zdrowie wchodzi tu w grę, to czy nie lepiej zdobyć się na pewną siłę woli — zerwać, przecierpieć, i zapomnieć.

WIELKA AKCJA PREMIOWA dla Sz. Pań PRENUMERATOREK „PRAKTYCZNEJ PANI"

Z dniem 1 grudnia r. b. rozpoczęliśmy przyjmowanie prenumerat rocznych na rok 1938 na specjalnych warunkach:

I) Cena prenumeraty rocznej wpłacanej w czasie od 1 grudnia r. b. do 31 stycznia 1938 r. wynosić będzie

zł 10

Od ceny powyższej nie ma żadnych dalszych ulg i prenumeraty, mające uczestniczyć w premiowaniu, winny być wpłacane *wyłącznie* jednym z poniższych sposobów:

1) do Kasy Centrali Tow. Wyd. „Bluszcz", Warszawa, Solec 87, lub Filii: Świętokrzyska 17 m. 3;
2) Przekazem P.K.O. na konto Nr 14.400;
3) Przekazem rozrachunkowym rozr. Nr 636;
4) Przekazem pocztowym pod adr. Tow. Wyd. „Bluszcz", Warszawa, Solec 87.

II) Każda 100-na prenumeratorka, spośród wpłacających prenumeratę roczną, otrzyma

bon wartości 25 zł

na który będzie mogła nabyć towarów według swego wyboru do wysokości powyższej kwoty w Domu Towarowym Bracia Jabłkowscy, w Warszawie, ul. Bracka Nr 25. Sz. Panie prenumeratorki, zamieszkałe poza Warszawą, będą mogły zamówić potrzebne Im przedmioty z dostarczonego przez nas katalogu wymienionej firmy. Premie te będą przyznawane co tydzień i natychmiast rozsyłane, aby umożliwić szybkie wykorzystanie ich przez osoby nagrodzone.

III) Każda 50-ta prenumeratorka, spośród wpłacających prenumeratę roczną, otrzyma tytułem premii

bon wartości 10 zł

Towarzystwa Handlowego „Kupiec Polski" w Warszawie, Zielna 50, upoważniający do wybrania na powyższą kwotę towaru w firmach reprezentowanych przez wymienione Towarzystwo. Bony te będą przyznawane i rozsyłane w identyczny sposób jak podano w p. II.

IV) Każda 25-ta prenumeratorka, wpłacająca prenumeratę roczną, będzie miała prawo tytułem premii do bezpłatnej 3-miesięcznej prenumeraty jednego (według swego uznania) z niżej wymienionych czasopism kobiecych, wydawanych przez Tow. Wyd. „BLUSZCZ", a mianowicie:

„Bluszcz" — społeczno - literacki tygodnik kobiecy.
„Dziecko i Matka" — dwutygodnik poświęcony zdrowiu i wychowaniu dziecka.
„Ja to zrobię" — dwutygodnik poświęcony robotom ręcznym.
„Kobieta w Świecie i w Domu" — wytworny dwutygodnik poświęcony życiu domow. i modom.

V) Po zamknięciu tej akcji nastąpi wylosowanie między wszystkie roczne prenumeratorki czasopism wydawanych przez Tow. Wyd. „Bluszcz"

5-ciu specjalnych premij

którymi będą:

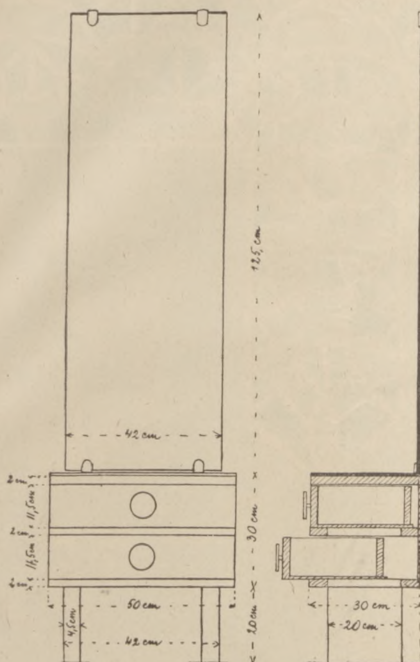
1) Nowoczesny 3-lampowy radioodbiornik „Echo 127 Z" — wyrób Państw. Zakładów Tele- i Radiotechnicznych w Warszawie;
2) Komplet platerowanych sztućców na 6 osób (30 sztuk) w pięknej kasecie — najnowszy model firmy Norblin, B-cia Buch i T. Werner w Warszawie;
3) Komplet naczyń aluminiowych znanej marki „Pelikan", obejmujący 8 garnków (z pokrywami) różnej wielkości, imbryk, patelnię, durszlak itp., ofiarowany przez firmę Krzysztof Brun i Syn w Warszawie;
4) Piękna lampa biurkowa, elektryczne żelazko i imbryk — dar firmy „Bracia Borkowscy S. A." w Warszawie.
5) Wykwintny czysto lniany obrus na 12 osób z serwetkami.

Zapraszamy więc do wpłacania rocznych prenumerat i życzymy szczęścia przy premiowaniu

---

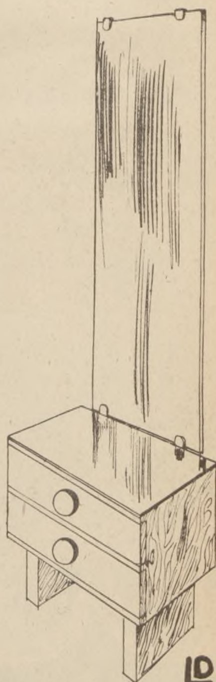
Ogłaszamy dalszą listę nagrodzonych w powyższej akcji:

1) bony po zł 25 — pp. Grodzka Anna — Bydgoszcz; Cichocka Irena — Dzielice, p. Rozdrażew; Podłowiakówna Julia — Monasterzyska, k. Buczacza.
2) bony po zł 10 — pp. Grudzińska Maria — Warszawa, Chlebowska Lena — Warszawa; Jankowska Helena — Grodzisk Maz.; Kauferowa Alina — Modlin; Kucharska Maria — Komorów; Drzewińska Antonina — Wołomin.
3) bezpłatne 3-miesięczne prenumeraty — pp. Kraszewska Alicja — Warszawa; Świątek Stefania — Ostrowy; Salnowska Halina — Rypin; Majewska Leokadia — Bargłów: Ciosańska Aleksandra — Bielsk Podl.; Pawłowa Eleonora — Dobra k. Turka; Giedrojć Franciszka — Warszawa; Stauferowa Alina — Stanisławów; dyr. Kierska — Gdańsk; Państw. Seminarium Ochron. im. Jachowicza — Lwów; Talikowska Helena — Częstochowa; Szkoła Dokształcająca Zawodowa — Włocławek.



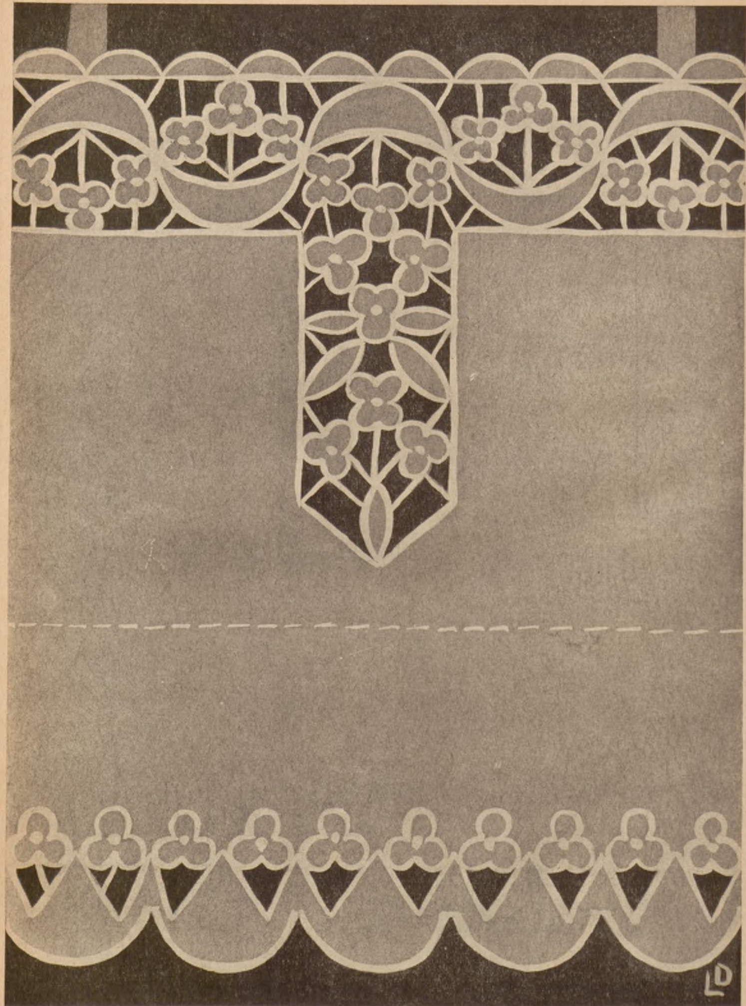
przód

bok



toaletka

skala 1:10.



Haft richelieu do bielizny, fartuszków, zazdrostek

Do koszuli damy szerszy haft u góry, węższy u dołu. Do zazdrostek szerszy na dole. Do fartuszka węższy na dole.

W zwierciadle mody

Kostiumy dziecięce

W okresie świątecznym i karnawałowym sprawa różnych zabaw dziecięcych staje się aktualna. Zwłaszcza na prowincji, gdzie trudno dla dzieci o takie rozrywki, jak kino lub teatr. Tam często trzeba uciekać się do urządzania jakiejś zabawy lub przedstawienia kostiumowego.

Dzieci niezmiernie lubią przebieranie się i ono odpowiada ich wyobraźni, poczuciu humoru i zamiłowaniu do świata bajek. A przy tym dzieci bardzo lubią sporządzanie kostiumów. Dla niejednej matki lub kierowniczki przedszkola, ochronki, lub szkoły, jest to doskonały moment do zaabsorbowania dzieci pracą, która dla nich jest właściwą rozrywką. Każde z nich jest dumne z dokonanego dzieła i prześciga się w wykończeniu roboty.



Oczywiście, że kostiumy dziecięce trzeba robić z materiałów najtańszych i wykorzystywać co się tylko da przystosować z domowych zapasów. A więc kretony, jedwabie, guziki, pióra, trykoty, wstążki itp. Przy odrobinie pomysłowości i zręczności można nieomal z niczego zrobić ładny i efektowny kostium. Ale najlepszym materiałem będzie zawsze papier bibułkowy.

Różne ozdoby jak kwiaty i wstążki dają się znakomicie osiągnąć z takiego materiału. Plisowane sute spódniczki różnych maków, słoneczników, dzwonków, chochlików czy też rusałek układają się efektownie z karbowanej bibułki. Obszyć nią można zręcznie wierzchy pantofelków. I robić bardzo piękne przybrania główek.

Naturalnie, że takie kostiumy są dosyć nietrwałe. Tam więc, gdzie kostiumy oblicza się nie na jednorazowy użytek, tam, gdzie stanowią pewien renament, lepiej wydać na materiał, bo wtedy robota się opłaci. Wprawdzie przybędzie koszt uszycia... Ale trudno sobie wyobrazić dziecięce przedstawienie bez odpowiednich kostiumów.

Modele, które tu załączamy są pomysłowe i tanie.

Pierwszy — to pierocik. Kostium można zrobić odpowiednio do środków z satyny albo z taniego t. z. luksu. Kolor biały — a wtedy pompony muszą być czarne, tak samo jak i do koloru niebieskiego, różowego, żółtego lub zielonego. Jeżeli robi się „czarnego pierota", to pompony muszą być białe.

Czapeczka wysoka, usztywniona na muślinie i ozdobiona takimiż pomponami.

Spodnie stosownie do rozporządzalnego materiału i wzrostu, lub wieku dziecka, można zrobić szerokie albo obcisłe w rodzaju rajtuzów lub kombinezonu.



Taki opięty kostium składa się na usymbolizowanie motyla. Mogą go nosić dziewczynki i chłopcy (rys. 3). Ozdobę stanowią duże skrzydła wyklejone z błyszczącego papieru z malowanym wzorem, albo wzorem naklejonym z barwnego papieru. Takie same skrzydełka ozdabiają główkę. Typowym kostiumem dla dziewczynki jest kolombinka czy też pastereczka. Tu różne skarby mamusi mogą oddać nieocenione usługi.

Spódniczka musi być suta z organdyny lub tafty, wreszcie z mocno nakrochmalonego materiału. Staniczek obcisły, rękawki krótkie, pęki kwiatów. I długa laska, zakończona również kwiatami. Zamiast kwiatów można przyczepić duży pęk różnobarwnych wstążek. Na główce wianek z kwiatów, pęki wstążek lub duża pasterka (rys. 2). A to wszystko z różnych mamusinych, lub może i babcinych, remanentów.



Bardzo ładne są również różne regionalne kostiumy stylizowane na wzór regionalny. Np. chłopeczka, która tak samo może się nazywać „muchomorkiem". Na główkę czerwona chusteczka, koszulka biała z bufiastymi rękawami. Czerwony gorsecik i suta spódniczka biała w ogromne, czerwone grochy. Ileż tu pola do pomysłów osobistych i wykorzystania resztteczek!

Albo „marynarze". Szerokie spodnie (z mamusi), górą koszulka z trykotu w pasy, a na głowie beret z pomponem.

Bardzo dobrze jest podczas takich imprez pozwolić się wypowiedzieć dzieciom, umożliwiając im nie tylko wykonanie, ale i opracowanie projektu. Zapewne, że każdy taki kostium trzeba dostosowywać do treści zabawy, ale zawsze trzeba iść po linii wykonania tego możliwie najtańszymi środkami.

Marieta

Studio Dorvyne



Balowa suknia z białej tafty naszywanej czarną koronką. Przybranie z czarnego aksamitu.



Jedwabny jasnozielony żakiecik bramowany futrem lamparta. Spódniczka czarna jedwabna.

Studio Dorvyne



Toaleta wieczorowa z wytłaczanego jedwabiu.



Suknia wieczorowa z kremowej wełnianej koronki.



492 493 494

W kółku rodzinnym

492 P. P. Suknia dla starszej pani z czarnej wełny, przybrana żabocikiem.
493 P. P. Suknia popołudniowa z brązowego crêpe-mat, przód wymarszczony, kokardka i pasek w kolorze niebieskim.
494 P. P. Garniturek dla chłopca od 7—10 lat, bluzka na karczku. Spodnie przypinane na guziki, kołnierzyk z białej piki.



Wśród najmłodszych

495 P. P. Garniturek z różowej flory, przybrany koronką, dla chłopczyka 3-letniego.

496 P. P. Sukieneczka z niebieskiego crêpe-mat, od 8 — 10 lat.

496a P.P. Sukienka z lekkiej wełny w kolorze terrakota, przybrana białym plisowanym kołnierzyczkiem.

497 P. P. Sukieneczka dla czteroletniej dziewczynki przybrana białą piką.

498 P. P. Suknia z czarnego crêpe-mat, stanik zdrapowany na jeden bok, kwiat i szarfa w kolorze koralowym.

W drogę



499 P. P. Podróżny zimowy płaszcz z grubej miękkiej wełny, rękawy raglanowe.

500 P. P. Elegancka podróżna peleryna podszyta futrem.

501 P. P. Elegancki zimowy kostium, przybrany karakułami.

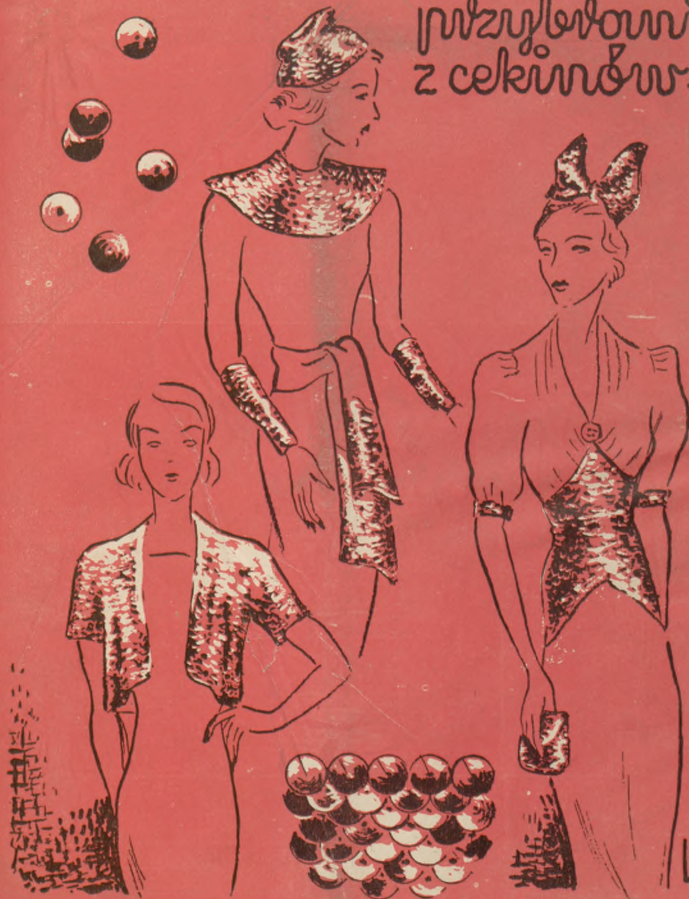
Między przyjaciółkami



502 P. P. Skromna suknia z granatowej wełny, przybrana białym kołnierzykiem i guzikami.

503 P. P. Suknia z jasno szarej wełny, przybrana granatowym materiałem.

504 P. P. Suknia popołudniowa z wełnianej żorżety. Stanik i spódnica na drapowanym karczku.



Pocztowy przekaz rozrachunkowy Nr 686

CENY OGŁOSZEŃ: — Za miejsce wysokości 1 milim, przez szerokość 1 łamu — **w tekście** — 70 gr., za tekstem — 50 gr., **drobne** 20 gr za wyraz, dla poszukujących pracy 10 gr. za wyraz. Kolumna dzieli się na 3 łamy, szerokość łamu 63 milim., wysokość 270 milim.

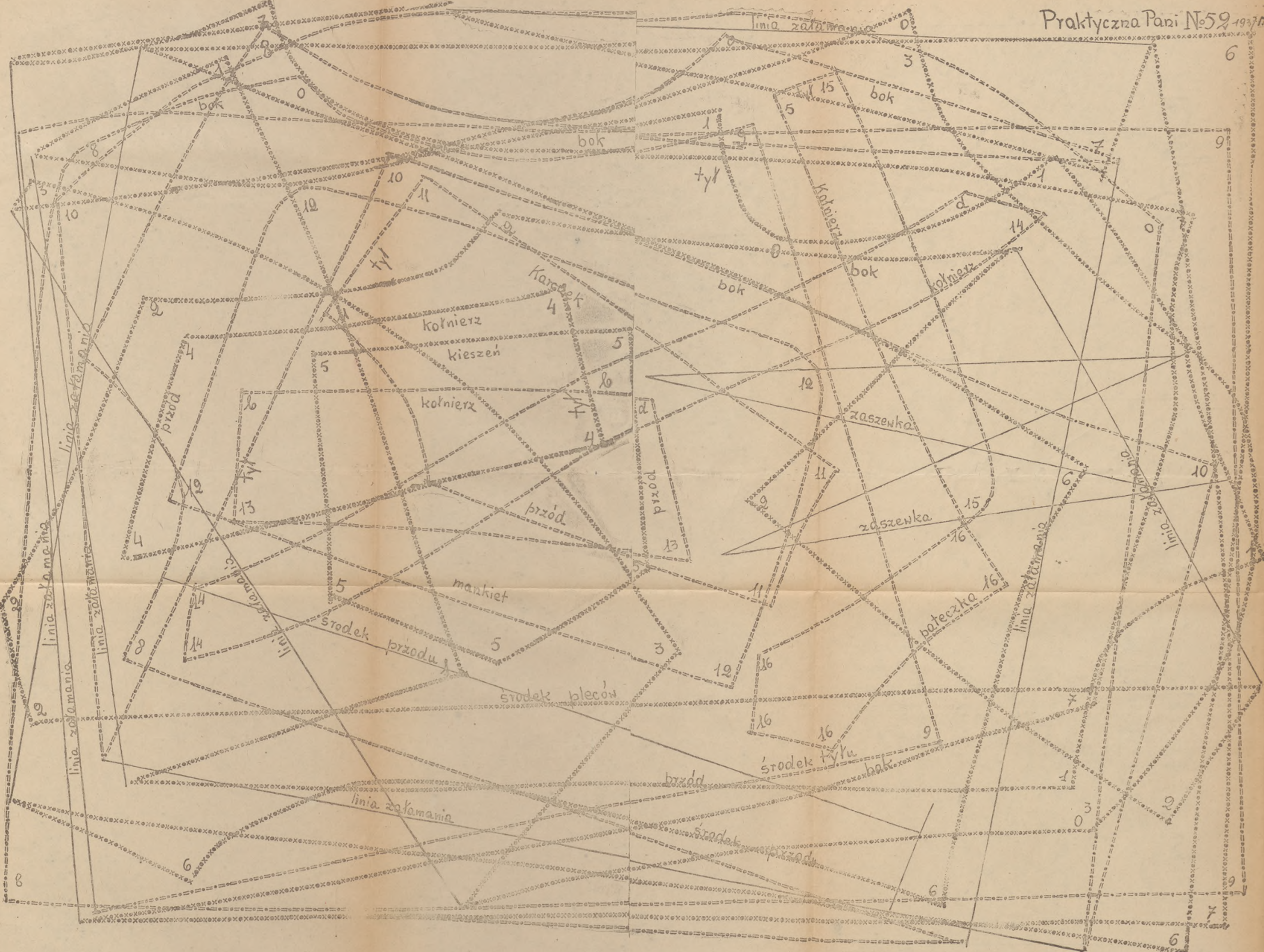
UWAGI: Omyłki, które zasadniczo nie zmieniają treści ogłoszenia, nie upoważniają do żądania zwrotu gotówki, ani też nie zobowiązują Administracji do bezpłatnego powtórzenia ogłoszenia. — Uzasadnione reklamacje będą uwzględniane, o ile zostaną wniesione do dni ośmiu od daty ukazania się ogłoszenia. — Podwyżka cen ogłoszeń może nastąpić w każdym czasie i obowiązywać będzie również te ogłoszenia, które zostały zamówione poprzednio, a nie były z góry zapłacone. Wydawnictwo zastrzega sobie prawo nie umieszczenia całego ogłoszenia względnie jego części bez podania powodów.

Redakcja i Administracja — Warszawa, Solec 87. Tel. 5-87-03, 2-44-18 i 6-26-44. Filja: Świętokrzyska 17. Tel. 6-76-72.

W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajków i t. p., wydawnictwo nie odpowiada za regularne dostarczanie pisma i abonenci nie mają prawa domagać się niedostarczonych numerów lub odszkodowania.

Redaktorka ANTONINA DEMBIŃSKA

WYDAWCA: TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „BLUSZCZ", WARSZAWA.
Druk i klisze w Zakładach Graficznych Towarzystwa Wydawniczego „Bluszcz", Warszawa, Solec 87.


Praktyczna Pani №52
linia załamania
bok
tył
kołnierz
kieszeń
Karczek
przód
mankiet
środek przodu
środek pleców
zaszewka
środek tyłu

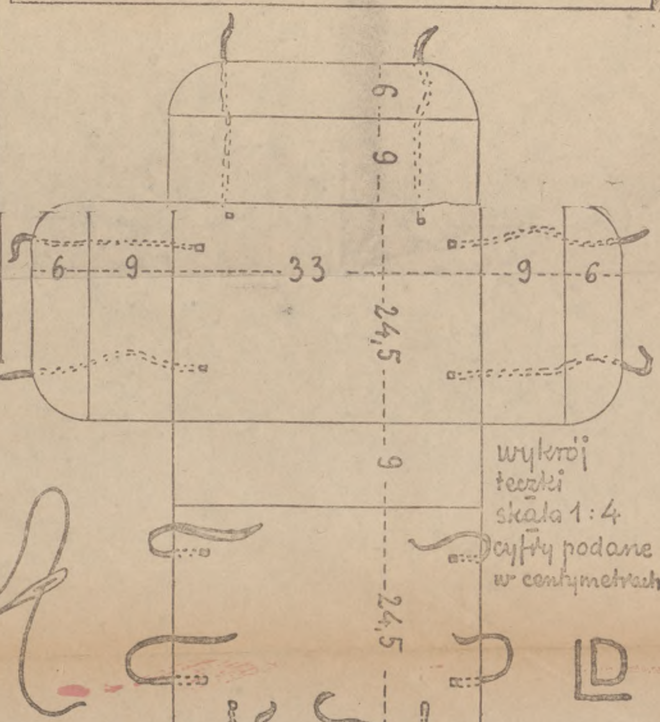
Praktyczna Pani

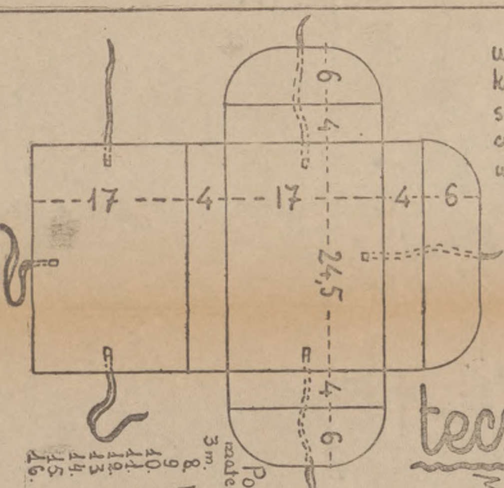
1937

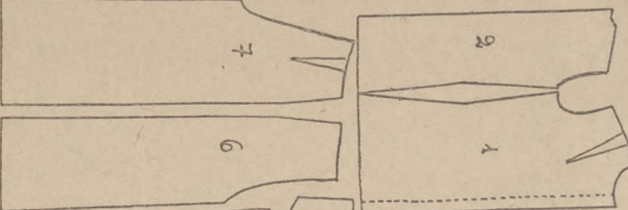
Książka Kuchenna



Praktycznej Pani



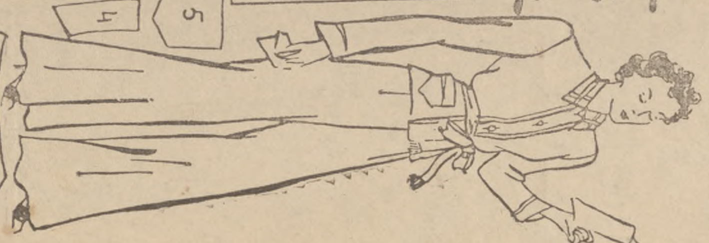




teczki z angielskiej tektury oklejonej płótnem

wzór naszywany ze sznurka (przed naklejeniem płótna)

"Praktyczna Pani" № 52 1937 r.

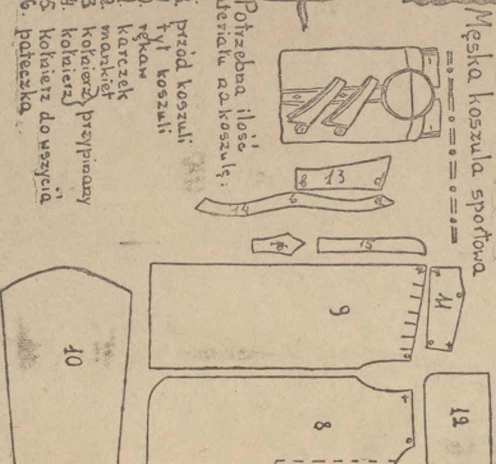


Piżama

Potrzebna ilość materiału na piżamę: 4 m 50 cm. Flanel. lub płótna

1 przód bluzki
2 tył "
3. rękaw
4. kołnierz
5 kieszeń
6 przód spodni
7. tył spodni

Męska koszula sportowa



Potrzebna ilość materiału na koszulę: 3 m.

8. przód koszuli
9 tył koszuli
10. rękaw
11. karczek
12. mankiet
13 kołnierz } przypinany
14. kołnierz }
15 kołnierz do wszycia
16. pateczka